POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 5-go maja 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 18**

WYMOWA ROCZNICY MAJOWEJ

SEJM WIELKI

Rzeczpospolita leżała w letargu. Po pierwszym rozbiorze odpadły od niej ziemie graniczne: Pomorze, Lwów, Witebsk.

Na okrajanym obszarze władza pozornie należała jeszcze do króla, w istocie rzeczy — do Stackelberga, wszechwładnego ambasadora cara-nierządnicy. Katarzyny II. Jaka była prawdziwa rola i znaczenie rosyjskich ambasadorów w Polsce tych czasów, o tym świadczy wywiezienie, jeszcze przed pierwszym rozbiorem, trzech senatorów polskich do Kaługi — kibitką, w biały dzień.

Rada Nieustająca, cień rządu polskiego, składająca się z rosyjskich kreatur, była organem wykonawczym Stackelberga. Panoszyła się grupa zaprzedanych Rosji magnatów, ludzi wyzbytych sumienia i honoru.

Na Zachodzie głoszono w tym czasie kult rozumu. W oparciu o jego zdobycze monarchowie Rosji, Prus i Austrii wzmocnili organizację swych państw i utworzyli potężne siły zbrojne. Zdobycze rozumu stawały się w ich ręku narzędziem ucisku i zaborczych planów. Wolnościowa Polska przez długi czas była bezsilna wobec tych zakusów.

Lecz po pierwszym rozbiorze prężyć się zaczęły w narodzie polskim odrodzeńcze siły, narastała wola zrzucenia przemocy i dobycia się z upadku. Zaczęto rozumieć, że należy Polskę uodpornić przeciw obcej zachłanności przez wprowadzenie zwartej organizacji państwowej i reform społecznych, któreby wyzwoliły utajone siły, tkwiące w warstwach niższych.

Polski prąd reformatorski też czerpał natchnienie z idei oświecenia. Wytężyły się w poszukiwaniu nowych dróg wielkie umysły Małachowskiego, Ignacego Potockiego, Andrzeja Zamoyskiego. W przeciwieństwie do sąsiadów nie poszli jednak ci mężowie stanu po linii światłego absolutyzmu. Rozum polityczny wskazywał im drogę postępowej konstytucji, łączącej swobody obywatelskie i reformy społeczne z silną władzą organów państwowych.

Ze strony Rosji należało się spodziewać sprzeciwu wobec planów, zmierzających do wzmocnienia Polski. Na szczęście Katarzyna II zaprzątnięta była wówczas wojną z Turcją, wierną od wieku XVIII-go po czasy dzisiejsze sojuszniczką narodu polskiego.

W r. 1788 zebrał się Sejm Wielki, którego zadaniem było przeprowadzenie reformy.

Z dalekiej Francji rewolucyjnej, która obaliła w tym właśnie czasie tyranię i wydała Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, szedł ożywczy powiew. Za jego sprawą poruszyło się warszawskie Stare Miasto. To samo Stare Miasto, w którym później walczył Kiliński na czele rzemieślników, które wydało największego z polskich męczenników, Łukasińskiego, które dziś jest cmentarzyskiem, kryjącym ciała bohaterów Armii Krajowej, lecz również stosy ciał zbirów SS. i strzaskane czołgi niemieckie. W czasach Sejmu Wielkiego Stare Miasto żyło życiem podwójnym, płonęło ogniem patriotycznego zapału, wrzało gniewem na ludzi, którzy dzieło reformy chcieli zatrzymać.

W Kuźnicy Kołłątajowskiej — tym wspaniałym prawzorze dzisiejszych agencji prasowo-propagandowych — wydawano broszury i ulotki, które stały się orężem idei postępowej.

W tej atmosferze Sejm powziął śmiałe decyzje wydatnego zwiększenia siły zbrojnej, rozwiązania uległej Rosji Rady Nieustającej, oraz uchwalił "Prawo o miastach", które było zapowiedzią całkowitego zrównania w prawach mieszczan ze szlachtą.

Zbladła gwiazda wszechwładnego dotąd ambasadora, który stał się nieoczekiwanie człowiekiem bez znaczenia i wpływów. Zcichli zaprzedani Rosji obrońcy szlacheckiej anarchii.

Ukoronowaniem prac i wysiłków Sejmu była Konstytucja, uchwalona 3 maja 1791 r., która streszczając dotychczasowe uchwały, tyczące reform społecznych, usprawnienia organizacji państwa i siły zbrojnej, zadośćuczyniła niełatwym do pogodzenia żądaniom silnej władzy i wolności jednostki.

Konstytucja ta, stanowiąca chlubne zamknięcie dziejów Polski przedrozbiorowej, stojąca na gruncie stanowym— nie odpowiadałaby dzisiejszym potrzebom społecznym. Na tle ówczesnej, stanowej budowy społeczeństw Europy — była przejawem prawdziwego postępu.

Wytrzymuje ona porównanie z uchwaloną w tym samym roku konstytucją francuską. Z dwu tych konstytucji 1791 r. — francuska była w zakresie pewnych zagadnień bardziej demokratyczna, polska zato — niewątpliwie bardziej dostosowana do warunków życia. Ponadto pierwsza zrodziła się wśród rewolucyjnego wstrząsu i bez tła krwawych scen zapewne nie pojawiłaby się w tym czasie, druga — była dziełem naturalnego rozwoju i przemiany znacznego odłamu społeczeństwa. Spotkała się też Konstytucja Majowa z gorącą aprobatą pisarzy politycznych krajów przodujących w dziedzinie kultury.

Dowiodła ta Konstytucja, że stać naród polski, o ile tylko jest panem własnego losu — na demokrację, z własnego ducha wyrosłą.

TARGOWICA

Wkrótce po uchwaleniu konstytucji zaczęły się gromadzić nad Sejmem Wielkim groźne chmury. Wojna rosyjsko-turecka dobiegła końca. Caryca postanowiła niezwłocznie zemścić się na Polsce.

W przeprowadzeniu tego zamysłu przysłużyli się jej trzej magnaci: Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski. Udali się do Petersburga i prosili Katarzynę o obronę Polski przed "jakobińską zarazą" reformy, o obronę przekreślonej przez Konstytucję szlacheckiej "złotej wolności". W istocie chodziło im o powrót do anarchii, któraby im pozwoliła żerować na niewyrobieniu społecznym odłamu niezamożnej szlachty, bezkarnie snuć intrygi w mętach bezładu politycznego i przeprowadzać prywatne ambitne cele. Szatańska pycha zagnieździła się w ich sercach tak wszechwładnie, że zabrakło w nich miejsca na najlżejszy choćby przebłysk miłości ojczyzny. Branicki, postać najpotworniejsza z tej trójcy, ożeniony z Rosjanką, pełniący funkcje generała rosyjskiego, odznaczał się również szczególną wrażliwością na rosyjskie ruble.

Rosja była państwem najmniej powołanym do obrony swobód obywatelskich u innych. Była monarchią absolutystyczną, "samodzierżawną". Ale z dogodnego pozoru do interwencji zbrojnej w Polsce nie omieszkała skorzystać.

W Petersburgu, nie gdzieindziej opracowany został plan utworzenia wśród szlachty polskiej organizacji, która miała walczyć o powrót do stanu rzeczy z przed 3 maja. Urzeczywistnieniem tego planu była konfederacja w Targowicy — miejscowości, należącej do Szczęsnego Potockiego. Wedle świadectwa wybitnego i miarodajnego uczonego, Władysława Smoleńskiego, idea tej konfederacji była tak dalece niepopularna, że dla stworzenia zawiązku organizacyjnego trzeba było spędzić na punkt zborny oficjalistów i rządców, służących u właściciela Targowicy.

Targowica wdziera się w rytm krzepiący wydarzeń ostatnich lat dawnej Rzeczypospolitej, jak zgrzyt, jak dźwięk fałszywy. Zdusiły go odgłosy, idące z lat następnych: słowa pieśni kosynierów Kościuszki, a nade wszystko słowa pieśni Legionów: "Jeszcze Polska nie zginęła!" I ta pieśń właśnie, pieśń tryumfalna żołnierzy Dąbrowskiego wyrażać odtąd będzie sens najistotniejszy dalszych dziejów narodu — przez cały okres dziejów, który nas od niej dzieli, dziś i przez wieki, które nadejść mają. Ale Targowicę trudno zupełnie wymazać z pamięci. Zjawia się niekiedy przed naszymi oczyma ponura jak widmo, budzące dreszcz niepokoju i głęboką odrazę — jak groźne ostrzeżenie.

Do walki zbrojnej z Rosją wystąpiła w r. 1792 armia polska, pośpiesznie przeorganizowana i zwiększona w myśl uchwał Sejmu Wielkiego. Walczyli mężnie pod Dubienką i Zieleńcami Józef Poniatowski i Tadeusz Kościuszko. Niedługie były ich tryumfy. Załamał się moralnie wyzbyty woli król. Przytłaczająca siła wroga zwyciężała.

Tryumfowała Targowica. Terrorem, wspartym obcymi bagnetami, zmuszała w powiatach szlachtę do przyjmowania swych uchwał. Dzieło reformy zostało zniszczone. Ustalaniu nowego ładu wtórowały niesłychane łupiestwa Kossakowskiego i innych przywódców konfederackich. Przypieczętowaniem rosyjskich protekcji stał się drugi rozbiór Polski, dokonany przez carycę Katarzynę wespół z wiarołomnym królem pruskim.

ZNACZENIE KONSTYTUCJI

Nie uratowała Konstytucja Majowa dawnej Rzeczypospolitej od upadku, nie uratowało jej również powstanie Kościuszki.

Uchwalenie tej Konstytucji było jednak faktem dziejowym o ciężarze gatunkowym olbrzymim. Była ona wymownym świadectwem zdolności narodu polskiego do niepodległego bytu. Drugi i trzeci rozbiór w niczym prawdy tej nie pomniejszają. Dzięki Konstytucji Majowej Polska mogła się rozwijać jako państwo niepodległe, rządne i sprawiedliwe dla wszystkich obywateli, gdyby nie przeszkodzili temu sąsiedzi, rozporządzający druzgocącą siłą materialną.

Na czym była oparta w tamtych czasach potęga Rosji, Prus i Austrii? Na machinie administracyjno-policyjnej, która uczyniła z wszystkich obywateli tych państw bezduszne automaty, wprzęgnięte w służbę zaborczych zamysłów monarchów, na przemyślanych gruntownie sposobach całkowitego wyzysku obywateli, na metodach kontroli nad nimi, na więzieniach i uśmiercaniu jednostek niewygodnych dla panującego.

System rządzenia, ugruntowany przez Fryderyka II, Piotra i Katarzynę II, z czasem zaczął kruszeć pod ciosami wyzwalających się ludów, a wojna światowa lat 1914 — 1918 stała się jego kresem ostatecznym.

KONSTYTUCJA MAJOWA A MYŚL ZACHODU

Lecz zmora zaborczości i ucisku zjawiła się na nowo, w zmienionej formie. Czymże innym, jeśli nie odrodzeniem absolutyzmu XVIII-go wieku są dzisiejsze systemy totalistyczne — odrodzeniem w postaci bez porównania bardziej dla świata niebezpiecznej. Machina państwowa, dusząca jednostkę ludzką, stała się bardziej dokładna, terror wobec jednostek i grup niewygodnych dla rządu doprowadził do gehenny obozów koncentracyjnych, duch zaborczości wystąpił w nasileniu, grożącym narodom całkowitą zagładą.

Lecz oto sprawiedliwość dziejowa zmiata te ustroje z powierzchni ziemi rękoma żołnierzy krajów, przywiązanych do wolności.

W chwili tej przypomnieć należy, że Polska nie od dzisiaj znalazła się w obozie demokracji Zachodu. W dobie Konstytucji Majowej wyraźnie odcinała się od ponurego tła Europy środkowej i wschodniej. Ojcowie duchowi tej Konstytucji, Staszic i Kołłątaj czerpali natchnienie z pism Jana Jakóba Rousseau, Montesquieu'ego i innych szermierzy postępu na Zachodzie.

Treść Konstytucji Majowej, wyrastająca z ducha wolności polskiej, silnie wiąże się z myślą przewodnią nowoczesnej Francji, a także — z zasadami konstytucjonalizmu angielskiego i Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W czasach, gdy mocarstwa otaczające Polskę wyznawały zasady ucisku człowieka przez człowieka i panowania narodu nad narodem, gdy znaczna część społeczeństw Europy środkowo-wschodniej, tkwiła jeszcze na niskim szczeblu rozwoju politycznego, Polska była w tej strefie geograficznej jedynym, daleko na wschód wysuniętym bastionem nowoczesnej idei politycznej — idei światłej i dalekowzrocznej, a opartej na szacunku dla godności ludzkiej.

I w tym przede wszystkim tkwi dzisiaj wymowa rocznicy majowej.

JÓZEF ŻMIGRODZKI

rysował T. W. BENDA



/fragment afisza propagandowego Armii Hallera/ /Ze zbiorów Eugeniusza Turskiego/

Przegląd tygodniowy

WOJNA I POKÓJ

Wojna w Niemczech jest prawie skończona. Po latach krwawych walk, po latach powodzeń niemieckich, gdy zdawało się, że nic już nie jest w stanie powstrzymać tryumfalnego pochodu wojsk Hitlera — nadchodzi ostateczne, druzgoczące zwycięstwo Sprzymierzonych. Jest ono wynikiem nie tylko przewagi potencjału wojennego trzech mocarstw, popartych przez zjednoczone w wojnie z Niemcami narody Europy, lecz również ich umiejętności współpracy i jedności działania. Od momentu wyładowania pierwszego konwoju alianckiego w Archangielsku, poprzez ułatwiające pochód Rosjan operacje lotnicze Sprzymierzonych aż do chwili, gdy w ubiegłą środę, gdzieś pod Torgau nastąpiło historyczne spotkanie czołowych oddziałów amerykańskich z rosyjskimi — wojna stanowiła jedną całość i wszystkie dążenia całego obozu zjednoczonych narodów podporządkowane były słusznie jednemu naczelnemu celowi: złamaniu duszącej Europę potęgi niemieckiej.

Ostatnim dobitnym aktem tej jedności było odrzucenie przez mocarstwa zachodnie próby niemieckiej kapitulacji wobec W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, z wyłączeniem Rosji.

Jednocześnie jednak, w chwili gdy współdziałanie Aliantów na polu bitwy daje upragnione zwycięstwo w Europie, tak wspaniały efekt końcowy — na drugiej półkuli w trakcie konferencji zwycięskich narodów, lub raczej za jej kulisami, toczy się spór nie o kwestie formalne, prestiżowe, lecz o podstawowe zasady. Świat staje wobec pytania: czy zjednoczenie dla wojny może się przekształcić w zjednoczenie dla pokoju; czy osiągnąwszy wspólny cel — mocarstwa podążą obecnie własnymi drogami.

GRA HIMMLERA

Następujące na coraz szerszym froncie połączenie wojsk Sprzymierzonych, które wdarły się do Rzeszy ze Wschodu i z Zachodu, sprowadza do minimum możliwości podtrzymywania oporu przez Niemców. Przepołowiony, wąski pas kraju, pozostawionego w rękach niemieckich, nie mógł w żadnym wypadku przedstawiać terenu, zdolnego do zorganizowanej obrony. Od chwili połączenia się wojsk alianckich, opór niemiecki musiał przekształcić się w szereg oderwanych od siebie, zdanych na łaskę losu "worków", nie mających żadnych szans dłuższego trwania.

Ale ostatnie dni przyniosły inne jeszcze wydarzenie, które wydaje się przesądzać całkowicie losy dalszej obrony niemieckiej. Gotowość kapitulacji, wyrażona przez Himmlera, jest dowodem zupełnego rozkładu, który w obecnym, tak tragicznym dla Niemiec momencie, trawi rdzeń niemieckiego oporu. Sama propozycja miała już w sobie coś ze zdumiewającego tupetu. Jasne jest oczywiście, że poza Hitlerem — Himmler jest jedynym człowiekiem, który /i tu odzwierciedla się całe dno upadku narodu niemieckiego/ posiada dość władzy, by przemawiać w imieniu Rzeszy. Wszelkie rachuby na generałów *Reichswehry*, na umiarkowane sfery konserwatywne czy katolickie w Rzeszy — zawiodły całkowicie. Okazały się takim samym złudzeniem, jak ów legendarny niemiecki ruch podziemny. Po zdławieniu ostatniej próby oporu w wyniku nieudanego zamachu na Hitlera — na placu pozostało tylko Gestapo. Himmler, odpowiedzialny za tysiączne rzezie w Europie, próbując zgrać swą ostatnią kartę — składa w imieniu Niemiec swą gotowość kapitulacji wobec mocarstw zachodnich.

KRES DYKTATUR

Trup Mussoliniego, wystawiony na widok publiczny w Mediolanie, jest symbolem nieodmiennego losu ustrojów dyktatorskich. Wielki *Duce*, który tak kiedyś imponował Hitlerowi naśladującemu bezceremonialnie jego wzory, który przez tyle lat pękał z pychy i dumy na balkonie Pałacu Weneckiego przemawiając do rozhisteryzowanych tłumów — zginął, otoczony nienawiścią własnego narodu i pogardą świata.

Być może, że jego los będzie lekcją dla Hitlera, który lada dzień skończy ze sobą bardziej po męsku — o ile przedtem nie skończą z nim właśni jego towarzysze partyjni. Próba kapitulacji, podjęta przez Himmlera wyraźnie wbrew Hitlerowi i zawierająca niedwuznaczną groźbę pod adresem Führera świadczy, że wśród załogi tonącego okrętu Rzeszy rozgorzała bratobójcza walka. Hitler został zdradzony przez swego najbliższego współpracownika, przez człowieka, którego darzył nieograniczonym zaufaniem i którego wyposażył w nieograniczoną władzę. Prawie jednocześnie przyszła wiadomość o "chorobie" i dymisji innego przyjaciela — Göringa.

Tak więc Hitler został opuszczony nawet przez swych najbliższych ludzi. Być może zresztą, że od szeregu dni jest on już na tamtym świecie. Gdy piszemy te słowa, świat pełen jest najprzeróżniejszych pogłosek. Wypadki zmieniają, się z godziny na godzinę, każdy dzień przynosi nowe sensacyjne wiadomości. O śmierci Hitlera możemy dowiedzieć się każdej chwili. Trudno zresztą przypuszczać, by chciał się on oddać do niewoli rosyjskiej, schwytany żywcem gdzieś w podziemiach Berlina. W każdej również chwili Himmler może wznowić swą propozycję kapitulacji — tym razem na innych już, zmienionych warunkach. W każdym razie jesteśmy już świadkami ostatecznego końca Rzeszy.

Gdyby propozycja poddania się wyszła z niemieckich sfer wojskowych, co oznaczałoby spodziewany tak dawno rozłam między siłami zbrojnymi a partią — Hitler wraz ze swym sztabem partyjnym mógłby naczele pozostałych jednostek S.S. prowadzić dalej przez jakiś czas oderwany opór; broniąc się w swej tak głośno rozreklamowanej reducie. Dziś jednak partia pęka od wewnątrz — w obliczu nadchodzącego końca ostatni obrońcy przyszłej reduty zwracają broń przeciwko samym sobie.

KONIEC LEGENDY "REDUTY"

Same zresztą operacje wojskowe rozstrzygnęły o losie osławionej reduty. Pęknięcie frontu włoskiego zagroziło jej od południa. Cofające się na północ wojska niemieckie — korzystając z wyjątkowych warunków obrony w terenach górskich — mogłyby jeszcze hamować pochód wojsk Alexandra. Ale czy Niemcy są w stanie podjąć zorganizowany odwrót? Czy po poniesionych klęskach będą jeszcze mogli stawiać jakiś opór? Wydaje się to bardzo wątpliwe.

Ale wrota reduty otwierają się również i z innych kierunków. Wojska sowieckie zbliżają się do niej z północy od Czech i Moraw. Bardziej na południe Amerykanie weszli do Austrii, gdzie działają w kierunku na Linz. Oddziały gen. Pattona znalazły się już wewnątrz reduty — po zajęciu Monachium i przekroczeniu granicy Austrii. Monachium, gdzie — rzecz charakterystyczna — poprzednio wybuchł bunt, zajete zostało zresztą bez większego oporu.

W ten sposób Amerykanie wchodzą w samo serce reduty: w Alpy Bawarskie. Cóż więc ewentualnie pozostaje Niemcom? Sama wewnętrzna forteca w górach — ale kto jej będzie bronił?

Wojna we Włoszech jest już skończona. Dobiega końca zwycięska kampania marsz. Alexandra, która z Egiptu — poprzez Libię, Tunis, Sycylię i południowe Włochy — przywiodła go aż do granic Szwajcarii i Austrii.

O ostatecznej fazie tej kampanii zadecydowała bitwa o Bolonię. Zdobycie Bolonii umożliwiło V-ej Armii oskrzydlenie odwrotu niemieckiego. Błyskawiczne postępy V-tej Armii doprowadziły ją do granicy szwajcarskiej w pobliżu jeziora Como. Armia niemiecka została przepołowiona. Padły wielkie miasta, jak Wenecja i Mediolan, gdzie — jeszcze przed nadejściem wojsk sprzymierzonych wybuchła rewolta, w wyniku której patrioci zdobyli władzę. Armia włoska, dowodzona przez, Grazianiego, zdecydowała się poddać.

POLACY W ROZSTRZYGAJĄCYCH BITWACH

O likwidacji oporu niemieckiego we Włoszech zadecydował — jak to już wspomnieliśmy — upadek Bolonii. W zdobyciu tego miasta główną rolę odegrał II Korpus. Piechota polska pierwsza wdarła się do miasta i dlatego zdobycie Bolonii należy przypisać Polakom.

Nie po raz pierwszy w tej wojnie przypada nam udział w rozstrzygających bitwach. Tak się jakoś składa, że w momentach decydujących nie brakuje nigdy Polaków. II Korpus brał zwycięski udział w obu bitwach decydujących dla kampanii we Włoszech. Poprzednią było oczywiście zdobycie Monte Cassino. Ten potężny bastion niemiecki stanowił długo nieprzezwyciężoną zaporę na drodze Sojuszników do stolicy włoskiej. Rozbiło się oń wiele ataków z lądu i z powietrza. Zdobycie Monte Cassino szturmem przez Polaków — otwarło Sprzymierzonym drogę do Rzymu, przesądzając o jego upadku.

Inny przykład bitwy o rozstrzygającym znaczeniu, w której odznaczyli się Polacy, to krwawe walki na osi Caen — Falaise. Bitwa o Falaise była decydującą dla całej kampanii we Francji i w Belgii. Pęknięcie oporu niemieckiego, jakie nastąpiło na skutek wyrwania "zawiasu" pod Falaise, doprowadziło wojska Sprzymierzonych w zwycięskim pochodzie aż po granice Holandii i Niemiec.

SAN FRANCISCO

Wojna w Europie jest skończona. Każdej chwili paść może rozkaz przerwania ognia. Pozostałe, oderwane od siebie ośrodki niemieckiego oporu zostaną szybko i gruntownie oczyszczone. Gdy jednak żołnierze armii sojuszniczych niecierpliwie oczekują tak zasłużonego zwycięstwa — w odległym San Francisco trwa zacięta walka o przyszły pokój.

Rodzi się on w takich bólach i z takimi komplikacjami, że przyszłe zdrowie i siła noworodka poczynają budzić coraz większe wątpliwości. Trudności, z jakimi boryka się konferencja w San Francisco na zewnątrz, sprowadzają się do jednej podstawowej trudności, którą stanowi sprawa Polski. Ale nie należy bynajmniej upraszczać sprawy twierdząc, że gdyby nie było tego zagadnienia, obrady przedstawicieli narodów zjednoczonych potoczyłyby się sprawnie.

Tak nie jest. Problem Polski — mimo całej swej niewątpliwej wagi dla narodów zjednoczonych — jest tylko problemem wtórnym. Zasadnicze znaczenie ma fakt, którego nie można ukryć: jedność którą Alianci osiągnęli w dziedzinie wojskowej, nie posiada swego odpowiednika w dziedzinie politycznej. Obrady w San Francisco, mimo zwycięskiego końca wojny w Europie — toczą się w atmosferze wzajemnej nieufności i obaw o przyszłość.

Konferencja jest odzwierciedleniem trudności istniejących w łonie Wielkiej Trójki, od której zależy rozstrzyganie najważniejszych zagadnień. Próba osiągnięcia zgody co do zagadnienia polskiego przed rozpoczęciem konferencji — jeszcze w czasie narad w Waszyngtonie — zawiodła. Rozbiła się ona o opór ze strony Rosji. W ten sposób Wielka Trójka przywiozła ze sobą nierozstrzygnięty problem do San Francisco, gdzie jest on przedmiotem dalszej dyskusji, rzucając oczywiście cień na toczące się tam obrady przedstawicieli zjednoczonych narodów.

Żądania Rosji odrzucane są przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone, jako niezgodne z decyzjami krymskimi. Rosja, która stawianym przez siebie oporem uniemożliwiła pracę komisji ambasadorów w Moskwie, powołanej dla zorganizowania "tymczasowego rządu jedności narodowej" — utrzymuje obecnie, że wobec braku tego nowego rządu, do San Francisco powinien zostać zaproszony "komitet lubelski". Stany Zjednoczone i W. Brytania sprzeciwiają się temu stanowczo, twierdząc, że takie rozstrzygnięcie byłoby sprzeczne nie tylko ze sformułowaniami, ale i z duchem decyzji krymskich. Żądania rosyjskie wyrażone były w dwu notach do rządu amerykańskiego i powtórzone wielokrotnie przez p. Mołotowa w Waszyngtonie i w San Francisco. Specjalnej mocy miał im nadać "20-letni pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy", zawarty przez Moskwę z Lublinem.

Obrady w San Francisco obfitują w wiele gorących momentów. Inne trudności stwarzane przez Rosję, jak n.p. kwestia przewodniczenia na konferencji oraz w obradach jej głównych Komitetów — Porządku Obrad i Redakcyjnego — zostały częściowo usunięte dzięki kompromisowi. Poparte przez W. Brytanię i St. Zjednoczone żądanie Rosji dopuszczenia do organizacji międzynarodowej Białorusi i Ukrainy zostało przyjęte, ale nie przyczyniło się do zwiększenia jej popularności w Stanach Zjednoczonych, które, jak wiadomo, zrzekły się zastrzeżonego również w Jałcie prawa do trzech głosów w Zgromadzeniu.

W dotychczasowych pracach w San Francisco wybija się na pierwszy plan stanowisko W. Brytanii. Jej przedstawiciel, min. Eden, w licznych momentach odgrywa rolę arbitra, łagodzącego spory i umożliwiającego wyjście z wielu trudnych sytuacyj drogą kompromisu.

Ostatnio, wobec nieustępliwości Rosji i zdecydowanego stanowiska zajętego przez mocarstwa zachodnie — dała się odczuć dążność odsunięcia rozstrzygnięć w sprawie polskiej do jakiegoś późniejszego terminu. Jak uczą doświadczenia z przeszłości, odkładanie przez Wielką Trójkę rozstrzygnięć w najtrudniejszych sprawach nie okazało się metodą zbyt szczęśliwą. Dlatego też należy wątpić, czy ułatwi to prace konferencji, nad którą sprawa delegacji polskiej wisi dalej, jak miecz Damoklesa.

ZASTĘPCA

Ś.P.
JADWIGA Z ZYBERTÓW IGNATCZENKO
urzędniczka Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej
zmarła po ciężkich cierpieniach dnia 25 kdietnia 1945 r. w Londynie. Pogrzeb odoył się dn. 28 kwietnia b.r. na Brookwood Cemetery.
W Zmarłej tracimy wzorowego pracownika i drogą koleżankę.
Cześć Jej pamięci!
SZEF I PRACOWNICY WYDZ. PRAC. KULT. OŚWIAT. M.O.N.

Wojna na morzu

3 MAJ

Szóste Święto Narodowe obchodzi Polska Marynarka Wojenna w walce z Niemcami.

Dziwne są losu koleje i naprawdę winny w ludzi małego ducha tchnąć wiarę w lepszą przyszłość.

W roku 1939 Hitler głosił całemu światu, że Polska przepadła na zawsze. Komunikaty "*Oberkommando der Wehrmacht*" głosiły o całkowitym zniszczeniu Polskiej Marynarki Wojennej.

A dziś dnie Hitlera, Niemiec i ich sił zbrojnych są policzone. Rzesza przeżywa w tysiącznym stopniu to, co przeżywaliśmy w Polsce w roku 1939. Pancerniki niemieckie leżą na dnie morskim obok szczątków naszych okręcików, co tak zawzięcie broniły Gdyni i Helu. Natomiast Polska Marynarka Wojenna żyje, walczy, pływa nieprzerwanie od początku wojny, a da Bóg, pływać będzie dalej ku chwale Rzeczypospolitej i pożytkowi Narodu.

MARYNARKA NA LĄDZIE

W osławionej Buxtehude /pod Hamburgiem/ wzięty został do niewoli admirał Engel — jeden z wyższych dowódców niemieckich. Wraz z nim w ręce Sprzymierzonych wpadły magazyny i zapasy marynarki, oraz większa ilość jeńców płci obojga. Nieco bliżej Bremy oddziały niemieckich marynarzy broniły się dzielnie przeciwko wojskom kanadyjskim, a pod Emden i polskim.

Z drugiej strony marynarka brytyjska oddawna walczy na lądzie — w Holandii, w Niemczech i we Włoszech. Brała ona wybitny udział przy forsowaniu Renu i innych rzek, oraz w operacjach nadbrzeżnych.

Na tym tle opowiadają zabawną historię. Gdzieś w Holandii — o 60 km od brzegu, ukazał się mały oddziałek brytyjskich marynarzy. Generał dowodzący na tym odcinku — zdumiony ich obecnością, spytał oficera "*Royal Navy*":

—Co Pan tu robi?

—Szukam okrętu podwodnego — brzmiała odpowiedź.

—Pan się chyba myli. W tych stronach nie ma nigdzie morza.

—Ale okręt jest, Sir . . .

Okazało się, że Niemcy wywieźli w głąb lądu na lorach kolejowych mały okręt podwodny nowego typu. Admiralicja — dowiedziawszy się o tym — wysłała oficera z kilkoma marynarzami, aby tę cenną zdobycz sprowadzić z powrotem na wodę — tym razem już pod brytyjską banderą.

RESZTKI OKRĘTÓW DOENITZA

Po zniszczeniu pancernika "Admiral Scheer" w Kilonii, pozostało Doenitzowi już niewiele okrętów większych. Pancernik "Lützow" leży podobno uszkodzony w Świnioujściu, krążownik ciężki "Hipper" — uszkodzony w suchym doku w Kilonii, krążownik lekki "Emden" /dość dziwne, bo okręt ten miał zginąć w r. 1940 w czasie inwazji Norwegii/ — uszkodzony w Kilonii, krążownik ciężki "Prinz Eugen" i krążownik lekki "Nürnberg" — są podobno w Norwegii, krążownik ciężki "Seydlitz" — wpadł w ręce sowieckie w Królewcu, krążownik lekki "Köln" /rzekomo zatopiony przez Rosjan na Północy, a przez angielskie lotnictwo w Norwegii/ — zbombardowany został przez amerykańskie samoloty w Wilhelmshaven, krążownik lekki "Leipzig" — uszkodzony w kolizji — jest w Danii, krążownik liniowy "Gneisenau" — zatopiony został przez Niemców w Gdyni w celu zablokowania portu.

Okręty podwodne — duże i małe — wciąż jeszcze walczą zapamiętale. Czytelnicy zdumieliby się, poznawszy właściwą liczbę wyprodukowanych w Niemczech okrętów podwodnych. Szczególnie małe /dwuosobowe i jednoosobowe/ liczą się w "roje." Ale ginie ich co tydzień sporo.

A rezultat? Mizerny. W pewnym tygodniu kwietnia zginął wszystkiego jeden statek sprzymierzony, podczas gdy Niemcy stracili 8 okrętów podwodnych różnego typu, a kilka mieli uszkodzonych.

Ciekawe jest to, że w r. 1918 bunty i załamania zaczęły się w Niemczech od marynarki. Dziś — wprost przeciwnie — marynarka walczy do ostatka i nie poddaje się tak łatwo jak wojsko na lądzie.

DANIA WALCZY

Już uprzednio większość holowników i statków pomocniczych uciekła z portów duńskich do pobliskiej Szwecji. Obecnie zorganizowana akcja patriotyczna pozbawiła Danię pilotów morskich, nieodzownych w czasie wchodzenia do portów, przechodzenia licznych kanałów żeglugowych i t.d. Piloci również umknęli do Szwecji, a Niemcy muszą teraz polegać na własnej nawigacji przybrzeżnej wśród labiryntu mielizn, raf, wysepek i płytkich torów wodnych.

EMDEN

Port w Emden, na granicy Holandii i Niemiec, był zdawna jedną z głównych baz marynarki niemieckiej. Obecnie działa niemieckiego frontu morskiego obrócone zostały na ląd przeciwko Polakom i Kanadyjczykom. Polska Dywizja Pancerna walczy więc nie tylko z piechotą marynarki, ale i z artylerią morską największych kalibrów.

Dostęp do Emden od strony morza jest bardzo trudny, ze względu na długie i pełne mielizn ujście rzeki Ems. Wejście to jest zagrodzone minami oraz różnymi przeszkodami na-i podwodnymi.

PIŁAWA

Wojska sowieckie po ciężkich walkach zdobyły wreszcie Piławę, port wojenny, panujący nad wejściem do Królewca. W roku 1939 większość ataków na Gdynię stąd była prowadzona.

W ręce Rosjan wpadł podobno w Gdyni nasz "stary znajomy" — pancernik "Schleswig-Holstein" — uszkodzony w r. 1939 w walce z baterią im. Laskowskiego na Helu.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

23 kwietnia: Sowiety ogłosiły o zdobyciu Frankfurtu n/Odrą, Oranienburga, Chociebuża i o osiągnięciu Łaby na płn. zach. od Drezna.

—We Włoszech wojska sprzymierzone przekroczyły rzekę Pad i wkroczyły do Modeny.

—Ogłoszono, że w dowód hołdu dla czynów żołnierza II-go Korpusu, dowódca 8-ej Armii gen. MacCreery prosił gen. W. Andersa o reprezentowanie 8-ej Armii na uroczystości w Bolonii w dniu 22.IV.45.

—Oddziały 1 Dywizji Pancernej dotarły do przedmieść Weener na lewym brzegu rzeki Ems.

24 kwietnia: Ogłoszono tekst memorandum Rządu Polskiego, doręczonego rządom W. Brytanii i St. Zjednoczonych.

—Ogłoszono, że wojska sprzymierzone zajęły Ferrarę, Modenę i Spezię.

—Wojska francuskie i amerykańskie zajęły Ulm.

—Wojska brytyjskie walczą na ulicach Bremy.

25 kwietnia: W San Francisco rozpoczęła się konferencja Narodów Zjednoczonych, na którą Polska nie została zaproszona. Prezydent Truman w przemówieniu powitalnym zaapelował do narodów, by "wzniosły się ponad własne interesy i trzymały się zasad, z których korzystać może cała ludzkość". Powiedział on również że: ". . . obowiązkiem wielkich narodów jest służyć światu a nie dominować nad nim" i że" . . . jeżeli chcemy mieć dobrych sąsiadów, to musimy my sami być dobrymi sąsiadami".

—Wojska amerykańskie zajęły port na Bałtyku.

26 kwietnia: Wojska brytyjskie zajęły Bremę.

—Wojska francuskie i amerykańskie zajęły Konstancję.

—We Włoszech wojska sprzymierzone zajęły Weronę i przekroczyły rzekę Adygę.

—Wojska sowieckie zajęły Szczecin i Brno, stolicę Moraw.

—Ogłoszono, że Goering zrezygnował ze stanowiska dowódcy "Luftwaffe", na które mianowany został gen. Ritter von Grein.

—Marsz. Pétain, który sam oddał się w ręce władz francuskich został zaaresztowany na granicy francusko-szwajcarskiej.

27 kwietnia: Wojska amerykańskie i sowieckie połączyły się w okolicy Torgau na płn. zach. od Lipska.

—Wojska sowieckie zajęły Wittenbergę n/Łabą oraz Poczdam.

—Wojska amerykańskie zajęły Genuę.

28 kwietnia: W. Brytania i Stany Zjednoczone odrzuciły ofertę bezwarunkowego poddania się Niemiec złożoną przez Himmlera, stwierdzając, że tylko bezwarunkowe poddanie się Niemiec W. Brytanii, St. Zjednoczonym i Rosji może być przyjęte.

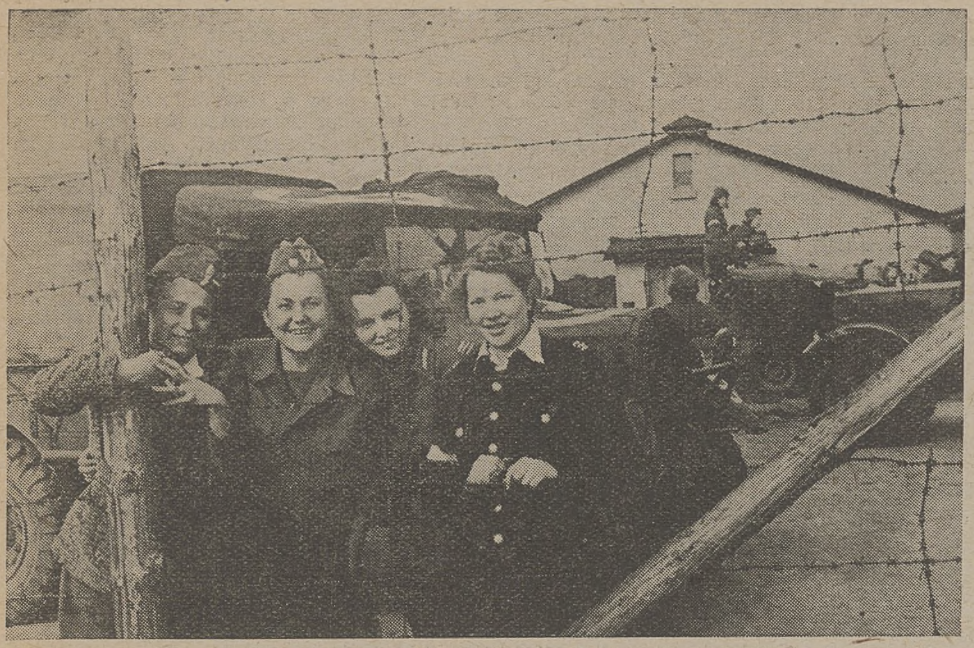
—Wojska sprzymierzone wkroczyły do Mediolanu i posuwają się w kierunku granicy szwajcarskiej.

—Partyzanci włoscy wykonali wyrok śmierci na Mussoliniego, a Marszałka Graziano dowódcę faszystowskiej armii włoskiej wydali sprzymierzonym.

29 kwietnia: Wojska amerykańskie zajęły Monachium, Wenecję i Padwę.

—Wojska brytyjskie przekroczyły dolną Łabę w Lauenburgu.

Polki wyzwolone przez Polaków



Poprzez druty obozu, którego bramy są już otwarte



Grupa kobiet z obywatelem polskim, który urodził się w niewoli



Pierwszy meldunek po miesiącach niewoli



Zbiórka na powitanie żołnierzy — wybawców

Z życia obozu VI C. — przed wyzwoleniem

Artykuł ten napisany został w Stalagu VI.C. przez kobietę żołnierza Armii Krajowej w czasie niewoli dla mówionej gazetki, nazywanej "Radio Obozowe".

Nowy obóz . . . Wypakowano nas z wagonów, zapakowano nas do auta i wpakowano nas za druty. To znaczy — jechały nie wszystkie, ale my, nauczone doświadczeniem, wlazłyśmy na sam szczyt piramidy bagażu. Można było z wyżyn obserwować okolicę.

Co za okolica! Gdzie spojrzeć: przesmutna równina, ubrana w szarą zieloność drzew i krzewów i ogromna masa wody — rozlanej, szerokiej, błotnistej. Wszystko to spowite mleczną mgłą. Smutne i białe duchy w tej mgle — to dalsze kontury drzew i nielicznych domów. Trzynaście kilometrów z Lathen — i ani jednego człowieka. Ogromnie biedna kraina. Co tu będzie można dostać, co kupić?

Gdzieś niedaleko, nie wiem nawet dokładnie, w której stronie — jest Holandia. Aby do niej dotrzeć, trzeba przebrnąć przez zwoje drutów kolczastych, zasięg CKM-ów z wieżyczki wartowniczej, psy policyjne, a za drutami ogromne, zdradliwe, rozlewne bagna i jeszcze granica. Potem dopiero może być Holandia . . .

Zamknęły się za nami bramy obozu. Znalazłyśmy się spowrotem za drutami. Baraki? — Hm, baraki na zewnątrz chyba takie, jak i tam. Wepchnięto nas do baraku nr. 1. Prycze metalowe, dwupiętrowe, na nich sienniki. Nowość!!

Ledwośmy się zainstalowały, a tu naraz gwałt, harmider: wywalają nas z rzeczami na rewizję, partiami po 50 sztuk!

Boże, jak ja się znowu strasznie bałam. Mama przysiadła gdzieś na walizce, a ja, przez wzgląd na ciężki plecak, oparłam się o okno.

. . . O Boże, byle prędzej odwalić i już . . .

Z sali dolatuje jakiś straszliwy wrzask, ktoś się okropnie piekli. Dosyć mam już wrażeń i emocji, naprawdę dosyć! To już powinno starczyć na całe życie . . .

Wpuścili do sali nową pięćdziesiątkę. Znów graty na stół, gorączkowe otwieranie bambetli. Towarzyszy temu wrzask siwego kapitana o pięknej, dobrej twarzy polskiego szlachcica. Jeden chlebak, drugi . . . Patrzę poza zielony mundur na ścianę. Potem walizka. Przypadkowo wypada z niej jeden papieros. Łapię pożądliwy wzrok zielonego munduru i dyskretnie podsuwam drugi. Walizka się zamyka. Plecaki jadą na bok. Kilka lekarstw wędruje z powrotem do tłomoka. "*Fertig*"! Jeszcze jest tyle czasu, by niespostrzeżenie rozpiąć spodnie i podwiązki, by zdjąć pasek i wsunąć go do plecaka. To samo się robi z małą a ważną torebką, zawartością kieszeni, pierścionkami i zegarkiem. Potem już szopka rewizji osobistej, macanie kurtki i spodni. I powrót do baraku przy akompaniamencie wrzasków kulturalnego kapitana.

Po pół godzinie wyrzucają nas z baraku nr. 1. Przenosimy się my, t.zn. *Aufnahme*, do drugiego. Gwałt, potrącanie się, szukanie dobrych prycz. Zdobyłyśmy śliczne "mieszkanko" — nowiuteńką pryczę, tylko podwójną, podczas gdy większość jest potrójnych. Górne piętro — światło od okna, belka nad głową z hakami i gwoździami. Komfort . . . Na belce postawię paczki, jeśli będą . . .

Zrobiłam śliczne półeczki na ścianie, jednym słowem — umeblowałam się. Ale jestem bardzo, bardzo skonana. Płakać mi się chce za *Aufnahme*. Ma tu przyjechać mnóstwo innych kobiet z różnych stron. Boże, żeby przyjechała Krystyna! Przecież szpitale mają też tu być.

Anitrę i kilkanaście innych kobiet wyrzucono od nas spowrotem do baraku pierwszego, bo do nas z kolei mają dojść te nowe. Znów będzie hałas, a ja już niczego nie chcę, tylko ciszy i spokoju, jak ktoś bardzo stary.

Zebrano nas wszystkie na apel. Apel to dla nas nie pierwszyzna. Ustawiłyśmy się więc w tempie zwolnionym, gadając przy tym, jak to tylko kobiety potrafią. Przyszedł feldfebel, przyjmujący apele.

—"*Ich melde Ihnen 200 Mädchen zum Apell angetreten*" — melduje jedna z naszych kobiet — szef grupy 90-ciu kobiet i dziewcząt. Naszą grupę melduje p. Karolina — z wdziękiem cywila, usiłującego bawić się w wojsko.

Feldfebel jest gruby i śmieszny. Mimowoli uśmiechamy się. Raptem wpada w furię. Bo oto, gdy on liczy, my stoimy na "spocznij". Cóż to?! On nas będzie uczył wojskowości?!?

Za feldfeblem stanął kapitan, komendant obozu. Niewielki, suchy, o kościstej twarzy, ze wzrokiem bazyliszka. W ręce szpicruta, przy nodze ogromny pies — wilk.

Komendant zaczyna mówić. Obok niego tłusty tłumacz ze Śląska — jąka się i zacina, kalecząc język polski.

—" . . . Jesteście jeńcami, żołnierzami . . . Wiemy o tym . . . Jako takie będziecie traktowane, a nie jak kobiety . . ."

Oho! Słuchajcie! U nas, począwszy od pułkownika, a skończywszy na najgorszym feldfeblu, wszyscy traktowali nas jako "damy".

Potem była mowa o niezbliżaniu się do drutów. W wypadku przeciwnym wartownik będzie "szczylać" /w szeregach śmiech/. Poza tym subtelna wzmianka o psach policyjnych, no i o tym, że w szeregu śmiać się nie wolno. Dalej komendant napomknął, że musimy pracować. Przez szeregi przeszło energiczne: "Nie!"

—"Dlaczego? — pyta zjadliwym głosem kapitan. — "Ach, konwencja!?" — głos jego jest słodziutki, jak melassa. I nagle przechodzi w grzmot:

—"Konwencja jest z 1919 roku, a teraz jest rok 1944-y. Poza tym wyście walczyły przeciwko Niemcom!"

No, tak, zrozumiałe. Tych, którzy z Niemcami walczą Konwencja Genewska nie broni!

Inny wiatr powiał po nas. Tak to nie Sandbostel.

Z PAMIĘTNIKA KOBIETY-JEŃCA

Bodaj to niewinne, beztroskie czasy dziecięce. Człowiek się teraz ugina pod jarzmem ciężkiej pracy. Jak dalekie są te słoneczne dni, kiedy nic nikomu nie potrzebowałam wbijać w głowę — mnie tylko zrzadka i z ostrożna wbijano w nieco niżej umiejscowioną część ciała prawdy trudniejsze do zakorzenienia.

Teraz, wśród łagodnego szmeru głosów niewieścich myślę nad nowym sposobem uszczęśliwiania maluczkich. Jakiś nowy temat klasówki — czekam, aż się jakaś myśl urodzi.

Chwilowo urodziło się dziecko. Nasze obozowe. Nie znaczy to, żebyśmy je wszystkie rodziły, prawo autorstwa zostawiamy matce, ale jesteśmy wszystkie po trochu dumne.

Z zawiścią myślę o niemowlaku. Nie musi iść na "odkomenderówkę", ani biegać wieczorem do latryny, nie szuka nocnych randek chlebowych poprzez druty, a jedzenia mu nikt nie skradnie ani nie odbierze; nie giną mu w sposób tajemniczy żadne drobne i większe przedmioty i ma najcudowniejszą pewność, najsłodsze ukojenie — nie odbiorą mu pamiętnika!!!

Tuż obok ktoś mówi o . . . Anglikach. Ktoś się martwi, że raczej wolą blondynki i zastanawia się czy i jak należy się malować. Anglicy — jakie to romantyczne! . . . Anglik, czy "Kanadyjczyk pachnący żywicą"?

Od niemowlęcia — do Kanadyjczyka! Głębiej pomyślawszy, nie jest to takie bez sensu. Między jednym a drugim może zaistnieć ścisły, aczkolwiek pośredni związek. Łańcuch przyczyn i skutków. Tylko to już kwestia przyszłości.

Aha — dzieci! Niemowlak jest oczywiście w szpitalu. U nas są tylko niemowlaki angielskie. Dużo, dużo takich niemowlaków. Choć ich nie rodzę — dzięki Ci za to, Panie Boże! — prowadzę ich chwiejne nóżki poprzez zawiły labirynt angielskich ścieżek. A jakie to niesforne, jak się to rozłazi na wszystkie możliwe strony — utrzymać nie można. Chodzę po salach i wielkim głosem zbieram moją trzódkę do "cichej przystani" — jednego z nielicznych i mocno "obsiadłych" stołów — i gdy tak wołam z odcieniem rozpaczy: IV grupa na lekcję! — po głowie mi chodzi niejasne biblijne przekleństwo: "Obyś cudze dzieci uczył!"

Moim niemowlakom śnią się dziwne słoneczne cuda. Sny rytmicznie kołysane hukiem potężnych motorów, w huku tym znajdujące swe uzasadnienie, swą marzeniową rację bytu. Że desant, że odcięcie, że wkrótce, że piękni, młodzi, rycerscy Anglicy, a one, ledwo wyszłe z pieluszek językowych, lecz już przedsiębiorcze i praktyczne wyciągają ku nim rączki i szepczą: "*Bread! Eggs and bacon, rolls, butter, jam!*" . . .

I nie tylko niemowlaki tak śnią. Ich wiekowa piastunka z bijącym sercem wsłuchuje się w wielką tajemnicę szumiących skrzydeł. Ona też!

Teraz jest godzina 11-ta. Siedzę w górze długiego stołu, wkoło mnie skupiło się zasłuchane grono "Angielek". Pierwsza lekcja: "*Is this a table? — Yes, this is a table! And is this a table? No, this is not a table!*" I tak w kółko, aż do bólu zębów.

W sali hałas, przypominający okresy najlepszej koniunktury na Halach Koszykowych i za Żelazną Bramą. Halina ucisza z rykiem. W odpowiedzi ktoś krzyczy: — "Koleżanki, które bolą zęby?!" — Śmiech. Proszę o ciszę, odbywają się lekcje. Znów ktoś woła: — "Kto idzie do lekarza?" — Potem znów: — "Koleżanki! rozpoczyna się kurs wojskowy! . . ." — "Słuchajcie, chciałam wam tylko powiedzieć, że wykład o Matejce . . ." — głos pani Cecylii niknie i rozpływa się w gwarze.

Żeby nadać lekcji tok nieco bardziej urozmaicony zapytuję moje dziewczątka z ujmującym wdziękiem: "*Is this a table, or is it not a table?*" — a po skołatanej głowie chodzi męczące pytanie: Anglik — Kanadyjczyk . . .

Co pół godziny wpada któraś z najnowszymi sensacjami: — "Czołgi angielskie koło Lathen!"

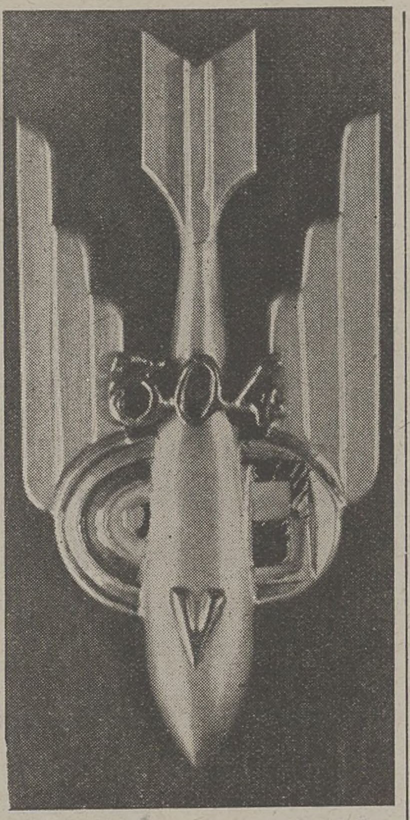
—"Rany Boskie! Uczmy się! Jak będą po angielsku "czołgi"?

Od strony pieca dolatuje pełna umiaru wymiana słowna. My się uczymy. Za oknem grupa dziewcząt ciągnie i pcha latrynę. To barak czwarty. Dziś jego dzień roboczy.

Ktoś pyta: jak jest po angielsku "kochać"?

. . . Anglik — czy Kanadyjczyk? . . .

Dywizjon Obrony Wybrzeża



Znak Dywizjonu

Morze, powietrze i gwiazdy

"Albo kula zbiorniki przebije
Albo Niemiec będzie wodę pił..."
/Z marsza Dywizjonu/

Dzieje Dywizjonu Ziemi Śląskiej są zamknięte w dwu księgach. Księgi to potężne — nie objętościowo, choć normalny śmiertelnik poderwać się nimi może. Potężne w Polskę, o którą ten dywizjon walczy na odległych atlantyckich wodach.

Dywizjon Ziemi Śląskiej im. Józefa Poniatowskiego, bo taką nazwę nosi, uchwaloną na zebraniu dnia 17 listopada 1942 r., a o czym tylko księgi piszą, obchodzi swe czterolecie. Czterolecie pracy bojowej. Cztery lata walki minęło od chwili, odkąd pierwszy "Wellington" opuścił X . . . udając się na bombardowanie zbiorników paliwa w Rotterdamie.

Prawie pięć lat istnienia to smarkaty wiek w setkach lat historii Polskich Sił Zbrojnych.

Ale pięć lat życia w czasie najstraszniejszej z wojen to według wszelkich pragmatyk 20 lat istnienia — rok służby w Lotnictwie zwykł się liczyć poczwórnie w czasie wojny. A więc dywizjon osiągnął swój wiek dojrzały.

Egzamin dojrzałości zdał z wynikiem, który osądzi historia. Jesteśmy o to spokojni — jak!

Zaczął "Śląski" pracę od bombardowań, był pierwszym polskim dywizjonem bombowym na obczyźnie. Po roku niszczenia Niemiec, poprzez Kolonię i Bremen, Hamburg i Berlin, objął służbę nad wodą. Tę najprzykrzejszą, najcięższą służbę obrony szlaków wodnych, służbę obrony w walce o Atlantyk.

Służba w powietrzu nad morzem — w dzień i w noc, w pluchę i słotę, w chmurny czy słoneczny dzień. Bo służba ta musi być pełniona w każdych warunkach atmosferycznych. Dlatego jest tak niebezpieczna. Morze ma swoje nieodgadnione jeszcze dla meteorologów zagadki. Lecz służba patrolowania, wykrywania musi trwać — by konwoje przeszły. A konwoje znaczą nowe zaopatrzenie — broń, ludzi, nawet chleb!

Pięć lat walki z powietrzem, morzem i przestrzenią. Wysiłek, który Dywizjon Śląski dziś zsumować może, jest nie byle jaki. Ponad trzy tysiące ludzi, tysiąc personelu latającego bojowego kuło tu Wolność Polski. Na Biskajach i północnym Atlantyku — nad morzami dalekimi i nad Kanałem, skąd oczy kierowały się ku Polsce. Hen, daleko na środku Atlantyku, na którym zrzadka tylko bandera Marynarki Polskiej pływała. Polskie załogi tropiły tam Niemca, gdy panoszył się w naszym kraju.

Przez pięć długich lat wojny, Dywizjon płacił obficie krwią swych najdroższych — stu sześćdziesięciu sześciu zginęło na morzach, wykonując swój ciężki żołnierski obowiązek.

Wykonał jeszcze w *Bomber Command* 488 lotów operacyjnych i zrzucił 500 ton bomb, a w Obronie Wybrzeża 2,870 lotów patrolowych i konwojowych, w czasie których wykonał 58 ataków, zatapiając lub uszkadzając 6 okrętów podwodnych, 7 okrętów nawodnych, odparł 46 ataków powietrznych, zestrzeliwując 7 samolotów nieprzyjacielskich. Ponadto już jako Obrona Wybrzeża, bombardował 7 portów w rękach wroga.

Te dwie olbrzymie księgi Dywizjonu, które odzwierciedliły jego życie, może najwyraźniej — najgłośniej mówią o jednej, zasadniczej rzeczy: o ciągłości w pracy, nieustawaniu w wysiłku. Już w dwa dni po przerzuceniu Dyonu o osiemset kilometrów, załogi startowały na operacje. Jeśli kto zetknął się z pracą lotniczą, to wie, co znaczy zmiana postoju dyonu.

Dyon rozpoczyna piąty rok walki . . . Dziś jest to największy dywizjon Polskiego Lotnictwa, wykonujący ciężką pracę, łączący ląd z morzem poprzez powietrze. Jedynak w Polskim Lotnictwie. Nie przerażają go ni burze, ni oblodzenia, ni deszcz czy mgła. Walka z warunkami atmosferycznymi najbardziej uwydatnia się w jego pracy, gdzie wyczerpuje się ostatnie litry benzyny, aby najdłużej pozostać na patrolu.

I walka z motorem . . . Bo przecież ponad dziesięć godzin pracy silnika, nieustannej — ciągłej — nie jest sprawą łatwą. Tu liczy się na wytrzymałość — wytrzymałość sprzętu i załogi. Dzięki trudowi i pracy załóg na ziemi, umniejsza się hazard tej gry, lecz motor też ma swe kaprysy. To nie człowiek, który jak chce, to musi. Załoga, sześciu ludzi w zimnym "gracie" to konstrukcja zegarka, w którym każde kółko musi być nieodzownie dopasowane i zgrane.

Jest to jeszcze praca, w której odpada jeden motyw, znany innym rodzajom Lotnictwa. Tu nie ma mowy o niewoli. Tu są tylko dwie możliwości: albo powrócić — albo być pochłoniętym przez zimne fale Atlantyku. Załogi nawet nie zabierają spadochronów, bo i tak im nic nie pomogą.

WŁOS

Dywizjon Ziemi Śląskiej, jedyny dywizjon polski, pełniący służbę w Lotnictwie Obrony Wybrzeża /Coastal Command/, w dniu 24 kwietnia obchodził piątą rocznicę rozpoczęcia pracy bojowej. Święto to, ze względów służbowych oraz lokalnych było obchodzone tylko w skromnych ramach.

Dywizjon Śląski rozpoczął pracę wojenną jako Dyon Bombowy. w nocy z 24/25 kwietnia 1941 r. Dwie pierwsze maszyny, oznaczone biało-czerwoną szachownicą wystartowały z ładunkiem bomb, by podjąć na nowo walkę z odwiecznym wrogiem.

Obecnie dywizjon posiada na swym koncie około 3000 lotów nad terenem nieprzyjacielskim oraz bezmiarami wód Atlantyku. Około 60 ataków na okręty podwodne, oraz poprzednie naloty na miasta niemieckie zostały okupione życiem 30 załóg.

Dywizjon trwa nadal na posterunku walki o Atlantyk. Walczy z wiarą, że w niedalekiej przyszłości będzie mógł stanąć u wrót Wisły, by znów jako pierwszy rozpocząć służbę nad Bałtykiem. jako Polski Dywizjon Obrony Wybrzeża.

Ziszczenia tej chwili życzymy wszyscy Dywizjonowi Ziemi Śląskiej oraz całemu Polskiemu Lotnictwu.

Jedna załoga

Załoga. Z punktu widzenia technicznego jest to część składowa samolotu lecącego. Samolot może wykonać zadanie tylko wówczas, gdy będzie właściwie wykorzystany przez załogę. Są samoloty latające bez udziału załogi, lecz zadania ich są jednokierunkowe, niezłożone i nie mogą być porównane z zadaniami samolotu bombowego.

Załoga obsługuje samolot. Praca poszczególnych członków załogi musi być uzgodniona bez reszty. Każda załoga ma swą odrębną duszę, różni się od dusz innych załóg. Załoga, o której pragnę mówić jest wyjątkową i dlatego należy o niej mówić.

Spotkali się w O.T.U. /Ośrodek Wyszkolenia/, czyli w jednostce, dokąd personel różnych specjalności po ukończeniu wyszkolenia osobistego jest wysyłany, aby z niego skompletować załogi. Przyjeżdżaja piloci, nawigatorzy, radiotelegrafiści, strzelcy samolotowi i na rozkaz dowódcy stacji formuje się z nich załogi. Przed rozpoczęciem lotów operacyjnych członkowie załogi muszą się zgrać ze sobą.

Zgrywanie załóg jest tą częścią wyszkolenia, która poza wzajemnym dopasowaniem zdobytych uprzednio wiadomości fachowych zespala nadto i uzgadnia współdziałanie poszczególnych członków załogi i daje jej odrębny wyraz duchowy. Dobór rozstrzyga o tym, czy zgranie następuje prędko, czy też odwrotnie.

Jedną z takich załóg przedstawiam: Pierwszy pilot — por. Zdzisław Z., drugi pilot — sierż. W. nawigator — mjr. inż Ludwik Z., radiooperator — ppor. Wł. K., strzelec radiotelegrafista — sierż. N., strzelec radiotelegrafista — sierż. N.

Charakterystyczną cechą tej załogi jest to, że w skład jej wchodzi dwu Z., ojciec i syn oraz, że załoga składa się z samych "Kresowiaków".

Major Z dociąga do pięćdziesiątki. Trzyma się jednak kapitalnie i może służyć za wzór, jaki tryb życia trzeba stosować, aby w tym wieku latać i to latać operacyjnie. Mjr. Z. pochodzi z Wileńszczyzny. Karierę lotniczą rozpoczął 27 lat temu.

Jego syn Zdzisław, lat 22, latał z ojcem już wówczas, gdy miał zaledwie 8 lat. W roku 1940 życie przynosi mu jedną z najpiękniejszych chwil: dowódca eskadry ofiarowuje mu odznakę pilota, jako najlepszemu ze swych uczniów, zaś ojciec — mjr Z. będąc na uroczystości zakończenia kursu w Szkole Pilotażu, za zezwoleniem Dowódcy Sił Powietrznych, przypina osobiście swemu synowi odznakę pilota.

Po zakończonych uroczystościach oficjalnych, gdy zdawało by się, nastąpiła okazja do podzielenia się wrażeniami ściśle prywatnymi, syn stanąwszy w postawie zasadniczej przed ojcem, w formie aż nazbyt oficjalnej zameldował.

Panie Majorze! Melduję się z prośbą!

No, cóż tam, melduj!

Proszę Pana Majora o zezwolenie starania się o to, abyśmy mogli latać w jednej załodze?-

W odpowiedzi ojciec uścisnął i obiecał ze swej strony zrobić wszystko, co będzie leżało w jego możliwościach, aby prośbie syna stało się za dość. Podanie skierowane do Dowódcy Sił Powietrznych znalazło zrozumienie i zapadła przychylna decyzja, przyczym wydano zarządzenie uzgodnienia terminu odesłania obu do O.T.U.

Drugi pilot załogi to sierż. W., z pochodzenia Wilnianin. Normalną służbę wojskową zaczął odbywać w 5 pułku lotniczym w Lidzie w roku 1937. Po kampanii wrześniowej opuścił Polskę. Przez Rumunię, Francję dotarł do Anglii. We Francji zgłosił się ochotniczo do Brygady gen. Maczka i odbył kampanię razem z "Czarną Brygadą," a dopiero w Anglii wrócił do rodzimej broni-Lotnictwa. Sierż. W. nosi w swym sercu nieukojony żal z powodu losu rodziny, którą w roku 1941 wywieziono do Rosji. Tam pozostaje dotychczas jego matka. Ojciec zaś i dwaj bracia walczą w szeregach Armii Polskiej we Włoszech.

Radiooperator, ppor. K. jest fascynującym elementem w składzie załogi ze względu na tajemniczy podkład egzotyzmu. Jest on pospolicie zwany "Charbińczykiem". W istocie jego egzotyzm jest niczym innym, jak tylko smutną polską rzeczywistością. Ojciec podporucznika K. zmuszony był porzucić Polskę i opuścić granice Rosji, ponieważ w roku 1904 nie chciał kłaść głowy za cudze sprawy. Po opuszczeniu Rosji osiedlił się w Mandżurii, dokąd sprowadził z Polski swą niedawno poślubioną żonę. Rodzina powiększała się i w roku 1920 przyszedł na świat nasz "Charbińczyk", bo kształcił się w Charbinie.

W maju 1940 roku, przedostaje się przez Hong-Kong, Sajgon, Singapore, Colombo, Dżibut i Port-Said do Brygady Karpackiej w Syrii, zaś w roku 1942 zgłasza się do lotnictwa, lecz dopiero w kwietniu 1943 roku przybywa do Anglii.

Jeden ze strzelców-radiotelegrafistów — sierżant M. — jest z pochodzenia Wołyniakiem. Wywieziony przez władze sowieckie do Rosji, przechodzi smutną wędrówkę po więzieniach i "łagierach". Wędrówka ta kończy się stosunkowo szczęśliwie: w roku 1942 udaje mu się opuścić Rosję przez Iran, Irak. Indie i dostać się do Anglii. Jest on zresztą, jak i podporucznik. rozbitkiem z "Empress of Canada."

Drugi strzelec-radiotelegrafista: sierżant N. ma lat 23, pochodzi z Grodna. Był aresztowany i wywieziony do Rosji w roku 1941, następnie przymusowo osiedlony w rejonie Barnaułu. Wydostaje się z granic Rosji po zawarciu układu pomiędzy Rosją, a Polską.

Tak więc, jedynie Ojciec i Syn wpływali na to, aby być w jednej i tej samej załodze, inni natomiast, zostali członkami załogi na rozkaz. Wzajemne badanie się nie trwało długo: miłym zaskoczeniem było dla nich dziwne zrządzenie losu, że w skład załogi weszli sami "Kresowiacy." Ten fakt podniósł na duchu wszystkich — przyczyniło się to też do jej szybkiego zgrania się.

Dziwna załoga! Pierwszy lot operacyjny minął dla wszystkich niespostrzeżenie tak, jak i drugi. Byłem obecny przy ich trzecim locie i planowałem nawet lecieć razem z nimi, lecz na przeszkodzie stał brak zezwolenia władz.

Nie wiem, jak długo chce latać i ile kolejek pragnie wykonać załoga wspólnie? Jest to ich osobista tajemnica. Do ich osobistych planowań i pragnień mógłbym dodać jedynie jedno: aby mogli startować do spokojniejszych lotów z naszych kresowych lotnisk.

BARTEK

Najpiękniejszy atak

Admiralicja brytyjska długo przytrzymuje fakty nim zwolni je z cienia cenzury. Choćby były tak mocne i piękne, jak ten, który za chwilę opowiem.

Bo już dziś wolno mi opowiedzieć o tym, co się stało w nocy z 4/5 maja 1944 roku. O najpiękniejszej walce polskiej załogi z Dywizjonu Ziemi Śląskiej w ramach operacji angielskiej *Coastal Command*. O tych kilku młodych chłopcach, których z różnych zakątków świata los ściągnął i połączył na chwiejnym pokładzie "Wellingtona." I którzy przecież powrócili do bazy: Dowódca załogi por. Leszek M. młody inżynier lotniczy ze Lwowa, nawigator, młody architekt z Politechniki Warszawskiej, radiota z "Brygady Karpackiej" w Tobruku, tylny strzelec—grabarz z Lyonu, a drugi pilot—z Łowicza. Po nawigatorze i pilocie, radio-operator chyba był najstarszy, choć wyglądał na panienkę, mówili o nim, że ma aż 23 lata. Takie to było towarzystwo.

Nocy tej myśliwce niemieckie pracowały ostro na Biskajach. Od pobliskich wybrzeży Brestu, aż po odległe skały Hiszpanii szły z morza meldunki o walkach i atakach. Szły krótkie, rozpaczliwe litery radiowych depesz niosace zaszyfrowaną treść, przegranej— albo życia.

Więc czujna załoga samolotu "N" jak "Natalia" przywarła brzuchem maszyny do fal i szła w tą wrogą noc nisko, jak najniżej. Już siedem godzin byli na patrolu i zaczerwienione zmęczeniem oczy zachodziły mgłą snu. Dochodziła godzina 3.15 rano, gdy radio-operator nawiązał styczność z okrętem podwodnym.

Krótkie rozkazy i kurs ku "łodzi." Księżyc wyszedł zza chmur i w srebrze światła, położył na wodzie smugę jaskrawą — tak białą, że aż bolesną. Na smudze tej strzępiło się rozdarcie piany i punkt — a tuż za nim, drugi.

Zastukał nerwowo radionadajnik. Z głębokości kadłuba wysuwał się powoli reflektor, ciężki, masywny, potężny.

Szarpnęły silniki z dodaniem obrotów i pilot pochylił maszynę w lekkim skręcie, by podejść do ataku.

Naprzeciw, na lewym skraju smugi światła szły szybko "łodzie". Siedziały głęboko, zanurzone po burty, pewne siebie i aroganckie.

Rozwarły się szczęki drzwi bombowych, gdy wtem, z głębi kadłuba buchnął czarny dym i blask płomienia. Ktoś krzyknął, że się pali. W kabinie pociemniało i ostry, gryzący swąd wdarł się do gardła. Nie było czasu do namysłu, decyzja musiała być natychmiastowa: ratunek, albo walka do końca.

W słuchawkach zabrzmiał głos pilota: " . . . Jeśli się da ugasić pożar — idę do ataku. Zapalić reflektor . . . "

Ostry, błękitny stożek światła położył się na wodzie i obramował "łodź". Odpowiedziała ca ą furią ognia z działek sprzężonych, z kaemów i pompomów. Wyciągnęły się języki ognia czerwone, pomarańczowe, jaskrawe. Trzymają samolot w wiązce płomienia. Nie sposób wprost atakować— ogień oślepia i razi. W kabinie dym wgryza się w oczy, dusi. Pożar na pokładzie samolotu — zapora przeciwlotnicza z łodzi. Ktoś pali sobie ręce w ogniu i skręca się z bólu. I znów spokojny głos pilota: ". . . Drugi pilot strzelać . . . ATAKUJĘ . . ."

Równocześnie z ogniem z samolotu otworzył ogień drugi okręt podwodny, kładąc rdzawe pasma błysków w poprzek drogi maszyny. Nie czas już na uniki — "łódź" tuż.

Pilot wychyla przez otwarte okienko kabiny oczy przekrwione, pełne łez od dymu, palce jego miękko naciskają spust bomb . . .

I nagle wstrząs, blask, huk i — ciemność. . .

Maszyna wali się w prawo do wody. Tuż przy niej wyrastają złowieszcze, półokrągłe czarne grzbiety fal. Ktoś kogoś schwycił za rękę, ktoś krzyknął . . .

Wolant ściągnięty na brzuch i pełna lewa noga — maszyna waha się, drży, wibruje, ale skręca. Wskazówka radiowego wysokościomierza zwolna podnosi się z zera. Samolot w lewym skręcie wychodzi z wiązki ognia, zatacza łuk. W słuchawkach głos: — " Radio ugaszone, wszystko o.k." i drugi: " . . . bomby pokryły łódź . . ."

Ciągle w lewym zakręcie, trawersem, ciężko wznosi się postrzelana maszyna. Wibruje, wali się, ale się wznosi. Cal po calu, metr po metrze — a w niej załoga, która w chwili decyzji, zapomniała o sobie.

Wtem z miejsca atakowanej "łodzi" strzeliła czerwona rakieta. W blasku jej znikły w czarnych, mętnych falach Atlantyku dziwnie skrzywione i nierealne, kontury niemieckiego okrętu. Kilka ciał zostało na powierzchni. W 10 minut później zanurzyła się i druga łódź niemiecka, nie było już kogo ratować — wracała do bazy sama.

W mglisty, burzowy poranek wlókł się "Wellington" do swojej bazy. Zbrukany osadem prochu i olejem. Z przestrzeloną wieżyczką tylnią, z poszarpanymi sterami głębokości. Z prawym płatem nadwątlonym przez wybuch pocisku z działa. Z dziurą między silnikiem a kadłubem tak wielką, że łatwo dorosły człowiek mógłby przejść przez nią.

Wlókł się omijając chmury i chmurki, w oczekiwaniu, że w każdej chwili uszkodzone skrzydło odleci. Ciężkie to były chwile dla załogi. Skrzydło jednak nie odleciało — "Wellington" usiadł w bazie.

Załoga Wellingtona "N" jak "Natalia" spełniła swe zadanie do końca. Powróciła . . .

JERZY GŁĘBOCKI

Pancerni walczą na ziemi niemieckiej

Dywizja w marszu

W Niemczech, w kwietniu

Prostą, asfaltową szosą mknie samochód za samochodem: duże ciężarówki i mniejsze, różne samochody specjalne, dziwnych nieraz kształtów, wozy pancerne, czołgi, motocykle, *jeepy*. Na szosach panuje ruch ogromny, jak na najruchliwszych ulicach Londynu przed wojną. Pojazdy mkną w jedną i drugą stronę. Szosa wygląda jak olbrzymi pas transmisyjny jakiejś potwornie wielkiej machiny, po którym suną różne narzędzia.

Do przodu posuwają się narzędzia walki: broń, amunicja, benzyna, żywność, pontony, ludzie. Idą gdzieś naprzód, daleko, by nakarmić olbrzymiego, niewidzialnego molocha. Z powrotem powracają tą samą drogą puste wozy po nowe narzędzia, po nowy materiał. Z powrotem moloch wojny odrzuca również ludzi rannych i — do niewoli. I tak wciąż równym, jednostajnym, monotonnym rytmem pulsuje szosa. Do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu.

Na drogach porządek panuje wzorowy. Wozy mijają się równo jakgdyby kółka jakiejś automatycznej maszyny. Konwój idzie za konwojem. Żandarm angielski, ubrany paradnie w białe oporządzenie i białe getry, ze spokojem kieruje ruchem na skrzyżowaniach dróg, niby policjant na głównych ulicach miasta. Znaki na przydrożnych drzewach wskazują drogi. Jedni jadą do celu za "czarną kulą", drudzy za "liściem klonu", inni znów za "purpurowym sercem". Od czasu do czasu znaki przeplata rozsądna uwaga: "Ostrożny kierowca nie ma czego później żałować" lub ostrzeżenie, że "zbliża się most". Nie brak również na drzewach przydrożnych różnych dowcipnych uwag, rad lub reklam, n.p. nowej kanadyjskiej pożyczki wojennej.

Nasz *jeep*, /jedzie w nim również dwóch polskich korespondentów wojennych/, mija wśród jednego z konwojów samochody, na których widnieją charakterystyczne oznaki polskiej Dywizji Pancernej. Dywizja nasza jest właśnie w marszu ku wschodniej granicy Holandii. W ciągu dwóch dni przebyła ona przestrzeń 240 kilometrów, a jeden z jej oddziałów wydzielonych przebył przestrzeń 300 kilometrów. Ustanowiony został w ten sposób pewnego rodzaju rekord marszu "jednym tchem" wielkiej jednostki pancernej, dowodzący dużej sprawności marszowej Dywizji, przy czym podkreślić należy, że wypadków na drodze było bardzo mało.

—"Panie Kapitanie, jesteśmy nareszcie na ziemi niemieckiej" — zawołał do mnie młodziutki motocyklista, wskazujący drogę jednej z kolumn Dywizji, gdy mijaliśmy go na skrzyżowaniu dróg. Były one kiedyś ulicami miasta Goch. Wszystkie miasta leżące koło Renu, na cyplu terytorium niemieckiego wcinającego się w Holandię, jak Klewe, Goch, Emmerich i Rees leżą w gruzach. Dosłownie w gruzach. Nie ma ani jednego domu nieuszkodzonego, a właściwie 98% jest kompletnie zniszczonych. Dopiero buldozery wśród rumowisk wytyczyły drogi. Wojna nie oszczędziła tutaj nawet drzew, których bezgałęźne kikuty sterczą ku górze nadając okolicy niesamowity wygląd.

Wioski niemieckie, które mijamy są równie silnie zniszczone. Na niektórych pozostałych domach powiewają białe szmaty. Taki nowy zwyczaj wprowadziła ludność niemiecka, że używa białej flagi, znaku poddania się, przyjętego dotychczas tylko dla sił zbrojnych. Niemców na drogach, wśród resztek domów nie widać. Czasem tylko jak cień przemknie jakaś postać z twarzą obojętną, bez wyrazu.

Po godzinie minęliśmy klin niemiecki. Wielka tablica przy szosie ogłasza, że jesteśmy znów w Holandii, że można "fraternizować" i że "nie wolno rekwirować, bo Holendrzy to nasi przyjaciele".

Ale nawet gdyby nie ten napis, każdy od razu zauważy, że jest na obszarze Holandii. Z każdego domu zwieszają się olbrzymich rozmiarów flagi czerwono-biało-niebieskie z pomarańczową kokardą, kolorem domu panującego, po dziś dzień bardzo szanowanego i kochanego. Ludzie przybrani są wszyscy w kokardki, czapeczki pomarańczowe, a dzieci nawet w całe ubranka tego koloru. Twarze wszystkich są roześmiane. Każdy kiwa powitalnie ręką lub pokazuje palcami znak "V". Musimy delegować kolejno jednego z towarzyszów podróży, by w imieniu nas wszystkich odpowiadał na te objawy radości i przyjaźni. Jest to na przestrzeni naszej paręsetkilometrowej drogi zadanie dość męczące!

Nieraz w miasteczkach tworzą się dosłownie szpalery. Po wsiach dzieci wylegają trzymając w rękach kurze jajka. Idzie handel zamienny. Żołnierze — i korespondenci wojenni — za jajko dają pięć papierosów "dla taty".

Wsie i miasta holenderskie są na ogół niezbyt zniszczone, chociaż od czasu do czasu spotyka się też rozwalone domy. Przed jednym z nich, który właśnie mijamy, w całej krasie zakwitła różowo wiśnia. Dziwnie kontrastuje to piękno natury na tle zniszczenia.

Dowództwo Dywizji Pancernej znajduje się w typowej wsi holenderskiej. Środkiem jej biegnie szeroki kanał, ozdobiony rzędami drzew. Po obydwu stronach kanału znajdują się jezdnie, chodniki i szeregi domów. Wszystko jest wyrównane, wymuskane i biegnie długimi, prostymi liniami aż po horyzont, by tam zakręcić pod kątem prostym i znowu biec daleko, wydawało by się, w niekończącą się dal.

Jest właśnie niedziela i chociaż na froncie, mówi się, nie ma świąt, w wojsku polskim można odczuć atmosferę dnia świątecznego. Żołnierze spacerują po ulicach wioski, flirtują z Holenderkami, bawią się z dziećmi. Żołnierz nasz lubi dzieci: chętnie sadza je sobie na kolana i coś im opowiada, nosi "na barana" i od czasu do czasu wsunie im cukierka. Niektórzy żołnierze majstrują coś przy wozach, których niezliczone ilości stoją nad kanałem, w bocznych uliczkach lub na podwórzach.

Pod wieczór Generał, Dowódca Dywizji siada przed domkiem dowództwa niby dziedzic przed dworem. Nie oczekuje on jeszcze wieńca, zakończenia plonów, ale patrzy jak idą żniwa. Raz po raz zajeżdżą motocyklista, przynosząc wieści z pola. Zajeżdżają samochody dowódców. Generał wydaje rozkazy, polecenia. Mimo pozornego spokoju życie tu wrze. Niedaleko stąd toczą się dwie duże bitwy.

Dzisiaj Dywizja przyniosła wolność miastu holenderskiemu Winschoten, a patrol polski dotarł nawet dalej na północ do morza. Gdy późnym wieczorem byliśmy u dowódcy brygady, dowodzącego tym działaniem, musieliśmy skosztować z manierki wody morskiej przywiezionej przez dowódcę patrolu na dowód, że doszedł tak daleko. W działaniach tych pod Winschoten pięknie spisali się byli żołnierze z armii niemieckiej, którzy tu przeszli swój chrzest ogniowy po raz pierwszy w szeregach polskich. Winschoten — jak nam opowiadają — z wielką radością powitało żołnierzy polskich, podobnie jak Emmen, inne duże miasto wyzwolone parę dni przedtem.

Druga duża bitwa rozpoczęła się równocześnie na ziemi niemieckiej w okolicach miejscowości Rhede. Bitwa ta trwała trzy dni. Niemcy stawiali zacięty opór. Skończyło się to dla nich bardzo krwawo, podobnie jak walka koło Borsum, w parę dni później.

Jesteśmy już z Dywizją na ziemi niemieckiej. Przed nami słychać strzały artylerii i karabinów maszynowych. Po obydwóch stronach drogi leżą rozbite samochody niemieckie tyłem zwrócone do atakujących. W rowach przydrożnych pełno porzuconego sprzętu, oporządzenia. Wzdłuż szosy ciągną długie szeregi uwolnionych jeńców belgijskich i rosyjskich, robotników francuskich. Wśród tych tłumów ludzi wygnanych przez Niemców z domów, z własnych krajów, których tu tak często się spotyka — nie mało jest Polaków. Ciągną oni wszyscy na tyły, byle dalej od Niemiec, byle prędzej znaleźć się w obozach wśród swoich.

Dywizja po sforsowaniu Kanału Küsten idzie dalej na Aschendorf i Papenburg. Walka jest ciężka. Przeciw Polakom walczą bataliony marynarzy i spadochroniarzy niemieckich, którzy mają silne wsparcie artylerii. Wydaje się, że Niemcy postanowili bronić Emden na tych przedpolach, pokrytych lasami, bagnami i kanałami, świetnie nadającymi się do obrony.

Gdy tam w Londynie gazety rozpisują się, jak to będzie się obchodzić dzień zwycięstwa, czy będą dwa czy trzy dni wolne od pracy — tu praca idzie dalej, bardzo krwawa, pełna niezwolnionego wysiłku i zwycięstw.

A zwycięstwa te wyrażają się licznymi miejscowościami uwolnionymi od Niemców, dużymi obszarami oczyszczonymi od nieprzyjaciela i pokaźną cyfrą jeńców. Do dnia 20 kwietnia b.r. wzięto do niewoli 30 oficerów niemieckich, w tym czterech dowódców batalionów oraz 2500 szeregowych. Zdobyto ponad 40 dział. Cyfry te z każdym dniem rosną. Straty nasze są stosunkowo nikłe; mniej więcej jeden ranny lub zabity przypada na siedmiu jeńców niemieckich /nie licząc setek ich rannych lub zabitych/.

Na swej drodze walki żołnierze Dywizji Pancernej mieli spotkanie jakże radosne: oswobodzenie żołnierzy polskich kobiet z Armii Krajowej w Stalagu VI.C., w Oberlangen, na ziemi niemieckiej.

Wśród tylu niespodziewanych, fantastycznych, zdawało by się, nieraz spotkań Polaków z różnych stron świata, na różnych ziemiach — to ostatnie było chyba najradośniejsze, najwspanialsze w czasie obecnej wojny. Wojsko Polskie na obczyźnie przyniosło wolność żołnierzom z Kraju.

WITOLD LEITGEBER

Bitwa o Papenburg

poniedziałek, 23 *kwietnia* 1945

Dywizja została poderwana z początkiem kwietnia i przerzucona forsownym marszem na północ, w rejon koncentracji koło Almelo. Po forsownym marszu rozpoczęła się właściwa akcja.

Początkowo walczyły tylko oddziały nieopancerzone, a więc strzelcy z 3 Brygady strzeleckiej i dragoni 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Wynikało to z terenu, który był chyba klasycznym przykładem terenu "nie-czołgowego". Północna Holandia w ogóle, a ta jej część w szczególności doskonale nadaje się do obrony. Niezliczone kanały, tworzą powikłaną sieć, wśród której drogi — na ogół zresztą o dobrej nawierzchni — tworzą zygzakowatą plątaninę, przemykającą się licznymi mostami i groblami wśród wód. Niemcy korzystali z terenu znakomicie i opóźniali skutecznie, niszcząc systematycznie wszystkie mosty. To też w pierwszej fazie działania Dywizji ruch uzależniony był niemal wyłącznie od saperów. Dokonywali oni rekordowych wyczynów. Dziesięciodniowy bilans działania Dywizji /po noc dnia 27.IV.45/ zamyka się bowiem trzydziestu trzema mostami o łącznej długości przeszło 470 m. Większość mostów stawiana pod ogniem wroga.

Brygada Strzelców, działająca na prawym brzegu Ems, napotykała tężejący opór nieprzyjaciela. W miarę posuwania się na północ — w miejsce oddziałów policji SS, które pierwsze stawiały opór, pojawiały się doskonale wyposażone i dobrze uzbrojone bataliony piechoty morskiej /*Marine Infanterie*/, przemundurowane ostatnio na "Feldgrau" a złożone z młodego i bitnego żołnierza. Ponadto gdzie niegdzie rozpoznano żołnierzy z jednostek spadochronowych. Opór tężał głównie dlatego, że Dywizjia wchodziła stopniowo w zasięg dalekiej obrony portu i miasta Emden.

Ten stan rzeczy wpłynął na decyzję Dowódcy Dywizji, który postanowił uderzyć swym prawym, pancernym skrzydłem na północ wzdłuż wschodniego brzegu Ems, forsując przeprawę na Kanale Küsten. Przeprowadzenie tego zamiaru dało w wyniku trzydniowych, twardych walk opanowanie trudnego i dobrze bronionego obszaru o długości niemal 30 km.

* * *

Wieczorem dnia 18 kwietnia 1945 położenie było następujące: na lewym skrzydle Dywizji Brygada Strzelców likwidowała resztki oporu niemieckiego w okolicy Borsum na zachodnim brzegu Ems. Brygada miała wtedy w swym składzie 10 batalion dragonów i 2 pułk pancerny. Jej bataliony strzeleckie przechodziły już pod rozkazy 10 brygady Kawalerii Pancernej — w wyniku przegrupowania do nowej akcji — względnie stanowiły odwód Dowódcy Dywizji. Na wschodnim brzegu Ems oddziały 10 Brygady w styczności z nieprzyjacielem w rejonie kanału Küsten. Dywizjon ppanc. luzował pułk kanadyjskich samochodów pancernych w rejonie Haar, gdzie na rzece były już mosty postawione przez naszych saperów.

Działanie zaczynało się o świcie dnia 19 kwietnia. Poprzedziły je czołgi jednego szwadronu 1 pułku panc. i jednego szwadronu 24 pułku ułanów, kładąc ogień dział na przeciwległe krańce pasa ustalonego na sforsowanie.

O godzinie 10,15 zrana rozpoczęła się akcja wspierająca lotnictwa. "Spitfire'y" i "Tyfuny" "zmiękczały" obronę kanału Küsten przez 45 minut. Potem przyszła kolej na przygotowanie artyleryjskie. Artyleria Dywizyjna /oba Pam'oty/ i zaprzyjaźniony pułk kanadyjski "Medium" — zwalczały wykryte uprzednio stanowiska nieprzyjacielskich dział i broni maszynowej i ośrodki dowodzenia. Wreszcie ruszyły czołgi "Krokodyl" /czołgi "Churchill", wyposażone w miotacze ognia/.

Ta cała nawała ogniowa waliła się na Niemców aż do chwili kiedy saperzy rozpoczęli stawianie kładki szturmowej. Były to kładki własnego typu, podwożone przez czołgi aż do przeprawy. O godz. 12,45 strzelcy z Batalionu Flandryjskiego przeszli przez kładkę forsując Kanał Küsten.

Teraz rozpoczęła się nowa praca saperów: pod ogniem cekaemów niemieckich, moździerzy i dział trzeba było postawić most, którym by mógł przejść szwadron 24 ułanów, wchodzący wraz ze Strzelcami Flandryjskimi w skład zgrupowania forsującego kanał, dowodzonego przez mjr. S. — O godzinie 14,00 most był gotów i czołgi przeszły na północny brzeg Kanału.

Mimo całego przygotowania artyleryjskiego, lotniczego i miotaczy płomieni, opór niemiecki bynajmniej nie ustał. Nie ustała też praca saperów dywizyjnych z kompanii "Marynarza". Trzeba było postawiony już most wzmocnić tak, aby mógł po nim przejść cały 1 pułk pancerny i dalsze oddziały Dywizji. Wzmacnianie trwało półtorej godziny.

Teraz rozpoczęła się nowa faza bitwy: już nie walka o przyczółek, bo był on mocno uchwycony, ale walka o przedmoście. 1 pułk pancerny i dwie kompanie Strzelców Podhalańskich — wraz z plutonem miotaczy płomieni /"Crocodile"/ — przejęły, pod dowództwem ppłk S., dalsze działanie. Zadanie żmudne, bo oprócz ognia nieprzyjacielskiej artylerii i broni maszynowej — nie brakło pozostawionych w lesie *"sniper'ów"*. Trzeba było oczyszczać lasy rozciągające się po obu stronach drogi i oczywiście uzupełnić czy stawiać mosty na bocznych osiach marszu. Pod wieczór nasze oddziały były oddalone o jakie 1000 m. na półn. od Kanału.

Rano oprócz zgrupowania ppłk S., złożonego z 1 pułku pancernego i 2 kompanii Podhalan, wszedł do akcji 24 pułk ułanów /bez szwadronu/ z dalszymi dwiema kompaniami Podhalan, tworząc wraz z ppancami, miotaczami ognia i saperami grupę bojową pod dowództwem płk G., z zadaniem działania na północ na prawym skrzydle.

1 pułk pancerny i Podhalanie posuwali się przy stałym oporze niemieckim na północ. Opór nie malał. Przeciwnie — pojawiały się coraz to nowe elementy. Teren przeorany był doskonale wykopanymi rowami strzeleckimi, wzmocnionymi faszyną, z bunkrami co kilkaset kroków. Amunicji i broni maszynowej mieli Niemcy pod dostatkiem. Wreszcie — w miarę podchodzenia pod Aschendorf — pojawiły się działa ppanc.

Spowodowało to jednak niewielkie zatrzymanie. Bezpośredni ogień dział czołgów 1 pułku pancernego, na którego osi była większość dział i ogień prawo-skrzydłowy dział czołgów jednego szwadronu 24 ułanów — zniszczył sporą ilość tych dział /w tym dniu stracili ich Niemcy piętnaście/.

Wreszcie około godziny 18,00 przełamano niemiecki opór na południowym skraju Aschendorfu i po zdobyciu ostatniego działa ppanc. przez Podhalan nasze działa i piechota weszły do miasta. 1 pancerny przeszedł szybko dalej na północ, biwakując o 3 km poza miastem. Podhalanie oczyścili zajęte miejscowości /m.i. Tunxdorf, położony o 4 km. na północ od Aschendorfu/.

Tymczasem 24 p. ułan., działając na prawym skrzydle, dotarł swoim plutonem rozpoznawczym, wzmocnionym drużyną saperów — aż do skraju Papenburga i uchwycił tam podminowany most. Niemcy zaminowali most bombami lotniczymi o zapalnikach zegarowych i uderzeniowych. Dowódca rozpoznania, porucznik D. z 24 p. ul. zaryzykował przerzucenie czołgów przez ten most, a jego saperzy rozbroili miny. Zniszczenia na drodze do drugiego mostu na kanale już wewnątrz miasta uniemożliwiły dalszy postęp tej nocy. W każdym jednak razie rozpoznanie 24 p. ułan. uchwyciło południowy skraj Papenburga wraz z mostem jeszcze o godz. 0,15.

Nazajutrz t.j. 21 kwietnia Dowódca 10 Brygady Kawalerii Panc., który dowodził całą akcją forsowania Kanału Küsten i dalej na północ — zaskoczył Niemców uderzeniem o godz. 5,30 zrana. O świcie wyszło rozpoznanie bojowe pod dowództwem ppłk C. złożone z Batalionu Podhalan bez dwóch kompanii i szwadronu 24 ułanów. Zaraz potem ruszył 24 p. ułan. z dwiema kompaniami Strzelców Flandryjskich. To ostatnie zgrupowanie pod dowództwem ppłk D. zdobyło miasto wczesnym popołudniem.

Opór niemiecki ciągle jeszcze był silny, chociaż wzięto wiele setek jeńców. Szczególnie charakterystyczny jest fakt, że w Dywizji było po trzech dniach walki 550 jeńców, pochodzących z jednego tylko batalionu niemieckiej piechoty morskiej. Można było śmiało odtworzyć ten batalion w niewoli.

Po zajęciu Papenburga zgrupowanie ppłk S. w składzie 1 p. panc. i dalsze dwie kompanie Strzelców Flandryjskich — zluzowało zdobywców miasta, posuwając się dalej na północ. 22 kwietnia osiągnięto już Foymhusen i Mark. Dzisiaj oczyszczono rejon Kollimghorst, Rhoudermoor i Ihrhaye. Bitwa o Papenburg skończyła się.

* * *

Rzut oka na mapę przekona o znaczeniu tego zwycięstwa. Dywizja opanowała rejon, który umożliwia jej dalsze działania. Teren bardzo trudny i szczególnie ważny. Wszystko to odbyło się w ciągu trzech dni. Jednakże najbardziej wart jest podkreślenia sposób działania Dywizji, jej wielka giętkość organizacyjna. Tworzenie grup uderzeniowych o różnym składzie, przy przewadze czy to piechoty, czy broni pancernej — wszystko w zależności od napotkanego oporu i terenu. Szybkie wykorzystywanie każdego zdobytego kawałka sąsiedniego brzegu, każdego mostu i przeprawianie odrazu potężnej pięści pancernej, która wspierana artylerią dywizyjną /a także korpuśną/, reagującą momentalnie na wszystkie żądania pierwszej linii i ubezpieczana piechotą, oczyszczającą zdobyty teren i likwidującą resztki oporu — łamie przeciwnika i wypiera go ze starannie przygotowanych umocnień polowych.

STEFAN KOSSAK

Sprawy polskie w książkach angielskich

TRAKTAT WERSALSKI, HITLER A POLSKA

Propaganda niemiecka od r. 1918 głosiła, że Niemcy zostały oszukane, upokorzone i uciemiężone. Legenda ta, rozdmuchana przez Hitlera, zatruła społeczeństwo niemieckie, rozpaliła chęć odwetu i doprowadziła do nowej wojny. Książka Lindleya Frasera*, profesora ekonomii politycznej na uniwersytecie w Aberdeen, dokładna i wnikliwa, oparta na bogatym materiale faktycznym, obala legendę o "sztylecie w plecy" armii niemieckiej w 1918 r., o rzekomej niezgodności traktatu wersalskiego ze słynnymi 14 punktami Wilsona, o tym, że po wojnie Niemcy stały się niewinną ofiarą bezlitosnych wrogów.

Postanowienia traktatu wersalskiego, jeśli chodzi o Polskę, wypływały z punktu 13 oświadczenia Wilsona. W licznych wypadkach sprzymierzeni poczynili ustępstwa Niemcom. Tak n.p. ludność Górnego Śląska jest w przeważającej większości polska i Górny Śląsk powinien był przypaść Polsce. Mimo to, zgodzono się na plebiscyt i te okręgi, gdzie większość wypowiedziała się przeciwko przyłączeniu do Polski, pozostawiono przy Rzeszy. Podobny wypadek zaszedł z Gdańskiem, znajdującym się w obrębie terytorium zamieszkałego przez bezsprzecznie polską większość. To też, gdyby sprzymierzeńcy przyznali Gdańsk Polsce, nie byłoby to pogwałceniem punktów wilsonowskich. W rezultacie stworzono niezależne "wolne miasto" i aczkolwiek stało się ono kością niezgody, rozwiązanie wersalskie stanowiło uczciwą próbę dochowania wierności tezom Wilsona.

Fraser ukazuje całą kłamliwość zarzutów przeciwko Polsce, fabrykowanych przez Trzecią Rzeszę od r. 1939. Przypomina kolejne mowy Hitlera z października 1933 r., z listopada t.r., ze stycznia 1934 r., z maja 1935 r., ze stycznia 1939 r., podnoszące m.in., że prawo 33-milionowego narodu do dostępu do morza nie może być poddane w wątpliwość. Przeciwstawia się tezie niemieckiej, że gwarancja brytyjska spowodowała nieustępliwość Polski, i udowadnia, że jeszcze przed udzieleniem tej gwarancji Polska zdecydowana była wybrać raczej beznadziejną wojnę — nawet sam na sam z Niemcami — niż przyjęcie warunków, przekreślających całkowicie jej niepodległość. Daje pełny obraz nieuczciwych machinacyj dyplomatycznych Hitlera i Ribbentropa w okresie, który poprzedzał wybuch wojny, wraz z zamaskowanym ultimatum dla Polski i groteskową propozycją zagwarantowania nienaruszalności Imperium Brytyjskiego w zamian za odstąpienie od sojuszu z Polską.

Propaganda niemiecka początkowo twierdziła, że to Polacy a nie Niemcy odrzucili brytyjską propozycję bezpośrednich rokowań pomiędzy zainteresowanymi państwami, potem zaczęła głosić, że dn. 1 września pierwsze strzały padły ze strony polskiej; Göring powiedział ambasadorowi brytyjskiemu, że Niemcy rozpoczęli działania wojenne dopiero po wysadzeniu przez Polaków mostu pod Tczewem. Równie zmyślone były twierdzenia o okrucieństwach popełnianych na mniejszościach niemieckich w obrębie Rzeczypospolitej. W istocie rzeczy, zaznacza Fraser, "prawdziwa zbrodnia Polski polegała na tym, że chciała ona walczyć w obronie swego narodowego bytu. To było podsumowanie jej "agresji".

* *Germany between two wars. A study of propaganda and war-guilt. By Lindley Fraser. /Oxford/. Oxford University Press*, 1944; *str. VII i* 1*nl. i* 184.

POLSKA NAD BAŁTYKIEM

W książce "*We Can Keep the Peace* /Możemy zachować pokój"/*, poświęconej zagadnieniom polityki międzynarodowej, Miss Mairin Mitchell, autorka licznych prac na tematy morskie, przypomina słowa, wypowiedziane przez przedstawiciela Polski na konferencji sprzymierzonych w St. James's Palace z dn. 24 września 1941 r. o tym, że Polska pierwsza przeciwstawiła się przemocy wojskowej Niemiec: "Cena, jaką za to zapłaciła, była straszliwa". Autorka podnosi, że nie powinno się to już nigdy powtórzyć.

Sprzymierzeńcy Polski muszą być na tyle silni, by przyszłe Niemcy zrozumiały, że najazd na Polskę po prostu się im nie opłaci. "W szczególności Wielka Brytania jest zobowiązana do zapewnienia Polsce bezpieczeństwa, gdyż w bitwie o Wielką Brytanię, jednej z najbardziej decydujących dla cywilizacji, lotnicy polscy strącili 195 niemieckich samolotów. Ale i inne kraje wiele zawdzięczają — jeśli chodzi o ich przetrwanie /*survival*/ — oporowi Polski, w czasie najazdu niemieckiego nie wspomaganej przez nikogo".

W interesie wszystkich sprzymierzonych, a przede wszystkim Czechosłowacji, jest rozleglejszy niż dotąd dostęp Polski do morza. Wprawdzie przewaga Związku Sowieckiego na Bałtyku jest zagwarantowana /"przewaga Związku na Morzu Śródziemnym, być może, przyjdzie z czasem" — dodaje autorka/, ale porozumienie z Polską jeszcze bardziej osłoni jego morskie linie komunikacyjne. Umocnienie Polski nad Bałtykiem nie jest bez znaczenia dla Wielkiej Brytanii, skoro jednym z celów najazdu Niemiec na Polskę było przerwanie łączności Wielkiej Brytanii z Bałtykiem.

Już w r. 1803 poeta niemiecki Arndt wskazywał na znaczenie dostępu Polski do morza: Arndt twierdził, że pozbawienie Polski Pomorza oznaczało w gruncie rzeczy koniec niepodległości Polski, gdyż wciśnięta pomiędzy dwa potężne państwa a sama bez granicy morskiej, nie mogła się ostać. Gdyby Wielka Brytania wyzyskała zwycięstwo Nelsona pod Kopenhagą w r. 1801 w celu rozciągnięcia swoich wpływów na Bałtyk, gdyby traktowała Polskę jako swego możliwego sprzymierzeńca morskiego — zaznacza Miss Mitchell — dzieje Europy potoczyłyby się inaczej.

W czasie obecnej wojny nie można było udzielić Polsce pomocy drogą morską, skoro jej wybrzeże morskie było "żałośnie /*pathetically*/ krótkie" i nierozwinięte. Polska musi być na tyle silna na morzu, by w ewentualnej nowej wojnie z Niemcami móc przeciąć dostawy rudy żelaznej ze Szwecji do Niemiec.

* *We Can Keep the Peace. By Mairin Mitchell. Londyn. The Grout Publishing*, /1945/; *str.* 256 *i tabl.*5.

SPOTKANIE Z POLSKIM KONTRTORPEDOWCEM

W książce "*The Waiting Year* /Rok oczekiwania"/* Richard Dimbleby opisuje wrażenia reportera przezwanego Mitchell, który w początkach 1943 r. przybył z Bliskiego Wschodu. Wrażenia te dotyczą przygotowań Wielkiej Brytanii do inwazji.

Mitchell odbywa m.in. wycieczkę — w roli sternika — z Plymouth na motorowej łodzi rybackiej, pełniącej służbę jako trawler /M.F.V.62/, pod komendą kapitana z Nowej Zelandii. Kiedy wracali, kanał wejściowy był pusty. Jedynie samotny kontrtorpedowiec pełną parą szedł w kierunku wybrzeża. Przy wejściu do portu "zbliżył się do nich z rufy . . . Spiętrzona od dzioba fala wskazywała, że okręt wojenny nie zmniejszył szybkości wchodząc do portu. Doganiał szybko trawler, ale — wobec braku innego rozkazu — Mitchell trzymał statek na kursie pośrodku wąskiego toru wodnego.

"Idący z tyłu okręt wojenny utrzymywał swoją pozycję i znalazł się nieprzyjemnie blisko łodzi, kiedy ryk jego syreny ściągnął Nowozelandczyka z kabiny. — "Czego do diabła tak się wydziera — mruknął. — Jesteśmy okrętem Jego Królewskiej Mości i jesteśmy na swojej drodze. Niech sobie, psiakrew, zaczeka. Mitchell trzymaj tak jak jest". — "Trzymam tak jak jest" — powtórzył Mitchell, nie racząc rzucić okiem na zbliżający się kontrtorpedowiec.

"Syrena zawyła dwukrotnie znacznie głośniej. Nowozelandczyk ciskał się oburzony po pokładzie, zatrzymał się na chwilę, potem krzyknął: — "O, do diabła, to Polak. Ster prawo na burt". — "Leży prawo na burt" — powiedział Mitchell, przekładając szybko szprychy sterowe.

"Trawler wyskoczył ze środka na bok kanału, niechętnie odzyskując równowagę, kiedy Mitchell zwolnił stery. Kontrtorpedowiec ukazał teraz polską banderę i z szumem przeszedł o kilka stóp od wątłego statku motorowego. Na mostku pojawiły się trzy głowy, gapiąc się z widocznym zdziwieniem na łódź rybacką z cywilem u steru, płynącą pod banderą wojenną. Potem ktoś przesłał pozdrowienie ręką, na co Nowozelandczyk niechętnie odpowiedział, i w kłębach piany kontrtorpedowiec oddalił się, pozostawiając silną falę, na której trawler tańczył jak jolka.

—"To skandal! — krzyczał kapitan. — Ci ludzie nigdy nie zwracają uwagi na przepisy ruchu i na regulaminy portowe. Zobacz, jak namiędlił". Wskazał na kontrtorpedowiec, który znajdując się teraz w pływającej zagrodzie, ale idąc ciągle pełną parą, nabrał przechyłu, kiedy wziął pierwszy ostry zakręt w kanale portowym. Ton jego stał się łagodniejszy. — "Te chłopy, to cudowni żeglarze. Zadziwiających rzeczy dokonali na kontrtorpedowcach". Z melancholijną zazdrością patrzał na wysmukły szary kształt, znikający w kierunku Devonportu".

SCRUTATOR

* *The Waiting Year. By Richard Dimbleby. Londyn. Hodder and Stoughton*, 1944; *str.* 186 *i* 2*nl.*

Poradnik żołnierski

Porucznik Kazimierz K.

Zgadzam się z krytyką niektórych audycji radiowych, nadawanych w języku polskim z Londynu. Pomijając ich treść polityczną, daje się zauważyć w nich dużo uchybień formalnych, n.p. rażące błędy językowe i wadliwą wypowiedź.

Za wszystkie te uchybienia i błędy obwinia Pan Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, ale właśnie tutaj Pan popełnia błąd, sądząc mylnie, że wszystkie audycje w języku polskim przygotowywane są przez polskie czynniki oficjalne. Tak sądzi zresztą bardzo wielu naszych rodaków, pomimo częstych ogłoszeń i mimo stosowania w zapowiedzi speakera wyraźnie różniących się nazw poszczególnych audycji.

Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że na trzynaście audycji w języku polskim, tylko cztery audycje są "Radia Polskiego", za które odpowiada Ministerstwo Informacji i Dokumentacji. Tylko te audycje /o godz. 8.20, 11.15, 13.45 i 17.50/ są redagowane przez Polaków.

Za siedem audycji jako "Dziennik B.B.C.", odpowiedzialne jest B.B.C. Audycje te są numerowane i zapowiadane jako pierwszy, drugi i t.d. Dziennik Polski Radia Brytyjskiego, albo Dziennik Radia Brytyjskiego w języku polskim. Za dwie audycje pod nazwą "Ameryka mówi do Polski", inaczej zwane "Głos Ameryki" odpowiedzialny jest Amerykański *Office of War Information* w New York'u.

Ogniomistrz Popł.

Sprawa Pana jest bardzo skomplikowana, ale nie beznadziejna. Ponieważ utrata zdrowia przez Pana /ciężkie poranienie i potłuczenie przez wojskowy samochód amerykański/, nie nastąpiła w związku ze służbą wojskową, nie ma podstawy do ubiegania się o zaopatrzenie inwalidzkie. Sądzę jednak, że może Pan starać się o odszkodowanie w drodze służbowej od Władz Amerykańskich przez t.zw. The United States Army Claims Section, U.K. Base, Room 201, 33, Grosvenor Square, London, W.1. Dla przyśpieszenia załatwienia Pana sprawy, list Pana przekazuję do Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N.

Skrzynka pocztowa

DZIECI POLSKIE W INDIACH

Szanowny Panie Redaktorze,

Pracownicy urzędu Delegatury M.P. i O.S. w Bombaju otrzymują od kilku tygodni i ze wzruszeniem czytają szereg airgraph'ów z Anglii, w których liczni czytelnicy "Polski Walczącej" zgłaszają gotowość roztoczenia opieki nad polskimi dziećmi w Indiach.

Pismem z dn. 6.II.45 r. l. dz. 1927 /KO/XIV/45* doniosłem Panu, że akcję tę poparłem i że da ona zapewne pożądane rezultaty. Z airgraph'ów wynikało, że akcję opieki nad dziećmi wywołał artykuł p. B. Pomiana, wydrukowany na łamach "Polski Walczącej". Artykuł ten dotarł do nas dopiero w dniu 9.II.45 r., a więc już po otrzymaniu airgraph'ów i wysłaniu mego listu do Pana. Artykuł ten wywołał wśród kół polskich w Indiach szczery żal.

Ani na chwilę nie przypuszczamy, aby cokolwiek innego prócz chęci pomocy wywołało fakt podania żołnierzom Wojska Polskiego wiadomości spóźnionej o dwa lata. Wyobrażamy sobie przerażenie, jakie ogarnęło żołnierzy na froncie, gdy przeczytali, że ich dzieci i sieroty polskie "umierają z głodu" w Indiach.

Otóż z całą odpowiedzialnością, jaka wynika z mego stanowiska stwierdzam, że dzieci polskie w Indiach mają wszystko co do ich pełnego zdrowia fizycznego i duchowego jest potrzebne, a więc dobre wyżywienie i dostateczne zaopatrzenie w odzież, należytą opiekę wychowawczą, dobrze postawione szkoły tak ogólnokształcące, jak i zawodowe oraz odpowiednie rozrywki. Odnosi się to zarówno do dzieci mających rodziców, jak i sierót, których w Indiach mamy około 700.

Statystyki wykazują, że waga i wzrost dzieci osiągnęły i nawet przewyższyły normy, jakie miała młodzież w krajach zachodnio-europejskich przed wojną. Udało się nam uratować wiele dzieci, które wywiozły z Rosji gruźlicę i malarię. Procent nowych zachorowań jest znikomy.

Pracownicy polskich urzędów robią wszystko, aby dziecku polskiemu podobnie jak i wszystkim dorosłym, którzy chcą tego, zapewnić w przyszłości byt materialny przez wykształcenie ogólne i zawodowe.

Mamy w Indiach szkoły ogólnokształcące /szkoły powszechne i gimnazja/ i zawodowe: instruktorek wiejskich, szkoły i kursy kroju i szycia, trykotarstwa i introligatorstwa, buchalteryjne, pracownie przemysłu sztuki ludowej i t.d. Gromadkę /37/ chłopców wysłaliśmy do Szkoły Morskiej w Anglii, druga — dziewcząt oczekuje na wyjazd na uniwersytety. Staramy się o umieszczenie grupy chłopców w przemysłowej szkole angielskiej w Poonie. Gromadka uczennic w średniej szkole angielskiej zdobywa obok wykształcenia ogólnego wiedzę fachową: pisanie na maszynie, stenografia.

Wracając do treści artykułu p. B. Pomiana stwierdzam, że wszystko to o czym pisze autor w nr. 51-52 "Polski Walczącej", z dn. 23-30.XII. 1944 r. jest słabym odbiciem tego strasznego stanu, w jakim dzieci polskie były w roku 1941, kiedy zostały wyewakuowane do Iranu, a następnie do Indii, ale który już od dwu lat nie istnieje.

Dzieci nasze zdrowe, silne i pełne nadziei czekają na powrót do Polski. Smutna jest jednak dola dziecka-sieroty nawet w najlepszych warunkach materialnych. Wychowawcy, mający w swej opiece od 20 — 30 jednak cudzych dzieci nie mogą każdemu dziecku zapewnić miłości i opieki, jaką zapewnić może serce matki i ojca.

Dlatego też z wielką radością przyjęliśmy zgłoszenie wielu szlachetnych ludzi, którzy chcą polskiemu dziecku ofiarować swoje uczucie, niektórzy ze zgłaszających się, nawet swój dom — w przyszłości. Dlatego też znalezienie przybranych rodziców przynajmniej dla najzdolniejszych sierót, byłoby najpiękniejszą akcją, jaka w dalszym ciągu mogłaby poprowadzić "Polska Walcząca", która — jestem najgłębiej przekonany — zechce sprostować nieporozumienie i naświetlić sprawę należycie oraz kontynuować akcję w pożądanym kierunku.

St. Dudryk-Darlewski
Delegat Min. P. i O.S. na Indie

* Drukowane w nr. 10 "Polski Walczącej" z b.r.

O NALEŻYTĄ OCENĘ PIECHOTY

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 31 marca 1945 r. Naczelny Wódz Gen. Anders odwiedzając jeden z oddziałów w Szkocji powiedział, że piechota jest nadal królową broni na polu walki. Piechurzy, nie obawiajcie się głosić tej prawdy.

Z prawdziwą przyjemnością czyta się artykuł ppłk. dypl. A. H. w miesięczniku "Bellona" zeszyt 3 marzec 1945 r. "Przygotowanie piechoty do walki", w którym autor między innymi tak pisze: "Piechota jest najszerszym wykładnikiem masy Narodu. Niezwyciężony Naród musi mieć niezwyciężoną piechotę. W innych broniach może przeważać rozum, potęga techniczna lub zimny obrachunek, podczas gdy w piechocie, w dobrej piechocie, będzie zawsze przeważała potęga ducha. Piechur w obecnej wojnie przeżywa kryzys w każdej nieomal bitwie w bezpośrednim zwarciu z nieprzyjacielem, który mimo bombardowań i całej masy ognia artyleryjskiego trwa w schronach bojowych, gruzach miast i t.p. Dawniej bitwa kończyła się dla piechoty zazwyczaj na odległości przedszturmowej, gdyż nieprzyjaciel rzadko kiedy wytrzymywał przewagę ogniową i przyjmował walkę na bagnety, teraz bitwa zaczyna się dla piechura właśnie na odległości szturmowej".

"Pójdźmy obecnie śladem rozumowania gen. bryg. F. S. Tukera, zawartym w artykule drukowanym w "*The Army Quarterly*" z października 1944 r. pisze dalej ppłk. dypl. A. H. Obecna wojna wykazała, że piechota, a ściślej mówiąc dobra piechota, jest jeszcze ciągle najważniejszą bronią na polu walki. Stąd jej wyszkolenie i przygotowanie do walki jest ważniejsze, niż wyszkolenie i przygotowanie każdej innej broni. Jest to tylko logiczny wniosek z wyżej wymienionego faktu, który każe nam pamiętać o tym, że piechota w kolejności ważności znajduje się na pierwszym miejscu".

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Aleksander Idzik

Książki o wojsku i wojnie

"Szum młodości"

Są ludzie i autorzy, którzy pod pewnymi względami zdają się nie ulegać wpływom czasu; którzy się nie starzeją; którzy pozostają młodzi, pomimo wieku dojrzałego. Z takimi ludźmi przyjemnie jest rozmawiać; takich autorów przyjemnie jest czytać. Ich książki są pełne zapału, ich myśli są świeże, młode, tętniące temperamentem, szumiące niewyczerpaną energią zdobywczej, nieposkromionej Młodości. Czytając taką książkę, każdy z nas powraca myślą do własnych lat młodzieńczych i uśmiecha się do własnych awantur, do własnych — jakże odległych nieraz — marzeń, projektów niespełnionych, przyjaźni zapomnianych lub utrwalonych na zawsze, do tego wszystkiego, co niegdyś "szumiało młodością."

Takim właśnie autorem jest Stefan Łaszkiewicz i taka jest jego książka o latach spędzonych w Lwowskim Korpusie Kadetów, gdzie zawarł przyjaźń z pewnym małym — "tak małym, że aż śmiesznym" — chłopcem, o czupurnej minie i czarnych iskrzących oczach. Tym chłopcem był Jan Grudziński, późniejszy dowódca O.R.P. "ORZEŁ". Ta przyjaźń przetrwała czasy szkolne; zerwała ją dopiero bohaterska śmierć komandora Grudzińskiego.

Ale "Szum młodości" nie jest ani monografią o przyjacielu, ani pamiętnikiem autora, ani powieścią. Jest to wspomnienie; wspomnienie o kolegach, o nauczycielach, o sobie, o Korpusie; o tym co autor nazwał "szumem" swojej młodości — o tym nurcie spienionym, który płynął przez jego duszę, budząc serce, zmysły i umysł, wyzwalając w gromadzie chłopców bujne temperamenty, kształtując ich usposobienia i ukazując pierwsze zarysy osobowości, mających dopiero dojrzeć, utrwalić się, skrzepnąć.

Książka jest napisana niezwykle szczerze. Jest bardzo bliska prawdy, mimo, że autora dzieli od czasów kadeckich wiele lat, wiele doświadczeń i zmian wewnętrznych. Książka jest taka, jaką napisałby Łaszkiewicz mając lat piętnaście, a umiejąc tak pisać, jak umie teraz. Łaszkiewicz nie patrzy w przeszłość oczami dojrzałego człowieka; nie uśmiecha się z pobłażaniem, widząc małego Janka Grudzińskiego i niewiele większego Stefka Łaszkiewicza, jak płatają figle, jak marzą o wielkich czynach, zwyciężają i ulegają w bijatykach, ponoszą klęski i odnoszą sukcesy przy egzaminach. Nie: Łaszkiewicz przeżywa to wszystko na nowo i — co więcej — potrafi skłonić czytelnika, by przeżywał te sprawy z nim razem tak, jak je odczuwa, jak się nimi przejmuje chłopak piętnasto, czy dwunasto-letni. I to jest w tej książce największym osiągnięciem autora. Dlatego użyłem określenia, że autor i jego książka są "młodzi."

Innym motywem, przewijającym się przez "Szum młodości" jest przyjaźń. Niewiele razy zdarzyło mi się spotkać równie wnikliwe uwagi o tym, jak powstaje przyjaźń między kolegami. Ta strona życia nie znajduje na ogół w powieści polskiej oświetlenia i ujęcia dość wyraźnego, jakkolwiek zarówno w życiu chłopców, jak w życiu ludzi dojrzałych z pewnością odgrywa znaczną rolę. Autor "Szumu młodości" potrafił to zagadnienie podać bardzo umiejętnie i przekonywająco. I znowu — powiedziałbym — "młodo"; tak, jak je odczuwa chłopiec, zawierając pierwszą prawdziwą, bezinteresowną przyjaźń.

Nie wiem do jakiego stopnia obraz Korpusu Kadetów narysowany przez Łaszkiewicza jest zgodny z prawdą. Z pewnością nie jest on bezstronny. Wynika to oczywiście z całego podejścia autora do książki: chłopiec kilkunastoletni bezstronny być nie może, a Łaszkiewicz napisał "Szum młodości," właśnie z punktu widzenia tego chłopca, nie zaś człowieka dojrzałego. To też sprawa bezstronnej prawdy jest tu drugorzędna. O wiele ważniejsza od niej jest sprawa prawdy osobistej — takiej, jaką ten chłopiec z Korpusu Kadetów żyje, na jaką patrzy, w jakiej się obraca. Dlatego Łaszkiewicz jest równie daleki od krytyki zwyczajów panujących w Korpusie, jak daleki jest od zachwytu nad "drylem" i wybrykami starszych kolegów z tego Korpusu. Przyjmuje ów "dryl" jak dopust Boży, ale zachowuje sentyment dla szkoły i jej tradycji; ma poczucie solidarności z tą szkołą, nie ukrywając jej wad.

Myślę, że warto tę książkę przetłumaczyć na angielski. Chłopcy w W. Brytanii z pewnością się nią zachwycą, co bynajmniej nie znaczy, aby nie miała zachwycić starszych.

JANUSZ MEISSNER

TOWARZYSZ BRONI

II Korpus Polski we Włoszech



Odznaka żołnierzy II Korpusu — Syrena z herbu bohaterskiej stolicy Warszawy

Czytając wiadomości z frontów, raz po raz znajdujecie wzmianki i reportaże o bojach II Korpusu na ziemi włoskiej. Z imieniem gen. dyw. Władysława Andersa, obecnie p.o. Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, związane są te boje, powtarzające historyczny wysiłek orężny Polaków na ziemi włoskiej — po Legionach generała Jana Henryka Dąbrowskiego.

Prawda, jak to się powtarza: "z ziemi włoskiej do Polski"? Wydzielony jako całość jednostek liniowych z Armii Polskiej na Wschodzie, II Korpus, bohaterstwem swoich żołnierzy, zwycięstwami coraz wspanialszymi — idzie ku wolnej Polsce, właśnie z pobojowisk i miejsc postoju na ziemi włoskiej, jak przed bezmała stu pięćdziesięciu laty Legiony Dąbrowskiego.

Nad rzeką Sangro we Włoszech, w połowie grudnia 1943 roku, weszła jako pierwsza polska jednostka do akcji — kompania komandosów. W parę tygodni później wszedł w styczność z nieprzyjacielem II Korpus, pod dowództwem gen. Andersa. Ten niemałego znaczenia fakt historyczny, podany został do publicznej wiadomości dnia 16 lutego 1944 roku, w normalnym komunikacie Sztabu Naczelnego Wodza.

W maju tegoż roku II Korpus skierowany został, wobec przygotowań do rozpoczęcia ataku sojuszniczego na tak zwaną Linię Gustawa, w rejon rzeki Rapido, skąd wyszedł do natarcia w nocy z dnia 11 na 12 maja 1944 roku.

W trakcie zaciekłych walk, dnia 17 maja i nocy z 17 na 18 maja, Polacy brawurowo przełamali obronę kompleksu wzgórz Monte Cassino. Padło silnie przez Niemców bronione wzgórze 593, Massa Albaneta, "Widmo" i Angelo. Niemcy raz po raz rzucali się do przeciwnatarcia, lecz nic nie mogło już wyrwać zwycięstwa, tak bardzo zasłużonego, z rąk polskich żołnierzy. Walki były zaciekłe. Mówią o tym: śmierć na polu bitwy dowódcy jednej z brygad, śmierć również w polu dwu dowódców baonów, i liczne mogiły żołnierskie.

18 maja 1944 roku, o godzinie 10 minut 30 rano, ponad ruinami klasztoru Monte Cassino, triumfując nad rozwalonymi bunkrami obrony niemieckiej — powiewać poczęła flaga polska. Znak zwycięstwa, osiągniętego krwią i wolą walki. Obok, na dowód braterstwa broni, zatknięto sztandar brytyjski, t.zw. *Union Jack*.

Zdobycie Monte Cassino odegrało wielką rolę operacyjną, ponieważ wysiłkiem żołnierza polskiego zdruzgotana została, silnie przez Niemców broniona, naturalna przeszkoda na drodze ku Rzymowi. Od stycznia 1944 roku, wielokrotnie starano się zdobyć tę górę. Wysiłki były krwawe, lecz bezskuteczne. Krwawili się Amerykanie, Nowozelandczycy, Francuzi, Ghurkowie. Dopiero żołnierzowi polskiemu Bóg nie poskąpił zwycięstwa.

W dowód uznania, Dowódca VIII Armii Brytyjskiej, gen. Leese, skierował do gen. Andersa list, zawierający te słowa: "Życzeniem moim jest, aby żołnierze Korpusu Polskiego, od dnia dzisiejszego, nosili na ramieniu tarczę krzyżowców VIII Armii, jako specjalną oznakę tego zaszczytnego stanowiska, jakie zajmuje Korpus Polski w VIII Armii".

Zdobycie Monte Cassino, wielkie osiągnięcie polskiego wysiłku żołnierskiego, otworzyło niejako II Korpusowi wrota do dalszych zwycięstw. Korpus walczy z kolei w rejonie Adriatyku. Tam odnosi trzecie, po Cassino i Piedimonte zwycięstwo. Zdobywa Ankonę.



Odznaka VIII-ej armii przyznana żołnierzom II Korpusu po zdobyciu Monte Cassino

Idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, żołnierz polski przepędza Niemców z pięknej ziemi włoskiej. Dokumentując całemu światu swoje umiłowanie wolności, pisze bezcenną własną krwią na kartach historii, nieprzedawnione prawo Polski do wolnego, niezawisłego bytu.

Najwyższa Izba Kontroli

W każdej organizacji społecznej — komisja rewizyjna po upływie czasokresu urzędowania przegląda rachunki i na walnym zebraniu członków stawia wniosek, jeśli rachunki były dobrze prowadzone, o udzielenie absolutorium.

Dla organizacji państwowej taką komisją rewizyjną jest Najwyższa Izba Kontroli, która bada zamknięcia kasowe poszczególnych działów gospodarki państwowej, i orzeka o słuszności zarządzonych wydatków i ich zgodności z przepisami.

W takich specjalnych warunkach, w jakich znajdujemy się, rola Najwyższej Izby Kontroli jest szczególnie ważna. Polskie organa państwowe z konieczności przebywają poza Krajem. Wydatki na pokrycie pracy resortów państwowych, na opłacenie Sił Zbrojnych — nie przychodzą do kas Rządu z wpływów podatkowych obywateli, lecz z kredytu, udzielanego Polsce przez sojuszników, w związku z nieprzerwanym ani na chwilę przez Polskę prowadzeniem wojny.

Kredyty te są wydatkowane w zgodzie z postanowieniami budżetu państwowego. Celowość wydatków jest następnie badana przez Najwyższą Izbę Kontroli, jako naczelny organ, kontrolujący nasze ogólno-państwowe wydatki.

Na czele Izby stoi Prezes, w chwili obecnej p. Tadeusz Tomaszewski. Personel Izby obznajmia się z wydatkami resortów rządowych, bada dowody kasowe i zamknięcia rachunkowe. Po gruntownym przejrzeniu ksiąg przez wyznaczonych do tego zadania kontrolerów, przekazuje ogólne wnioski do wiadomości Pana Prezydenta i Premiera Rządu R.P. a w pokojowych czasach również Sejmowi i Senatowi.

Działalność finansowa wojska, oraz wojskowych instytucyj nie jest wyłączona z pod wglądu Najwyższej Izby Kontroli, która i tu ma pole dla skrupulatnej działalności sprawdzającej.

Rząd R.P. przebywający poza Krajem korzysta z kredytów u sojuszników. Nadejdzie, bo nadejść musi czas, gdy po zakończeniu działań wojennych i nastaniu pokoju, kredyty te będę regulowane.

Więc już dziś winniśmy sobie z tego zdawać sprawę i pamiętać o tym. Tyczy się to nie tylko naszych skłonności dla szafowania groszem w zespole, lecz również i do gospodarki poszczególnych żołnierzy. Winniśmy sami dobrze się zastanawiać nad słusznością i potrzebą własnego wydatku, zanim przystąpimy do samego wydatkowania.

Krzemieniec leży na Wołyniu

W maju na Wołyniu rozpoczyna się wiosna. Zielenią się bujnie łąki, których trawa daje słodkie mleko krowom. Na łąkach występują ponad zieleń kwiaty. Drzewa zakwitają. A ponad wszystkim — unosi się zapach czeremchy. Pięknie jest wiosną na Wołyniu, a może najpiękniej z całego Wołynia — w Krzemieńcu.

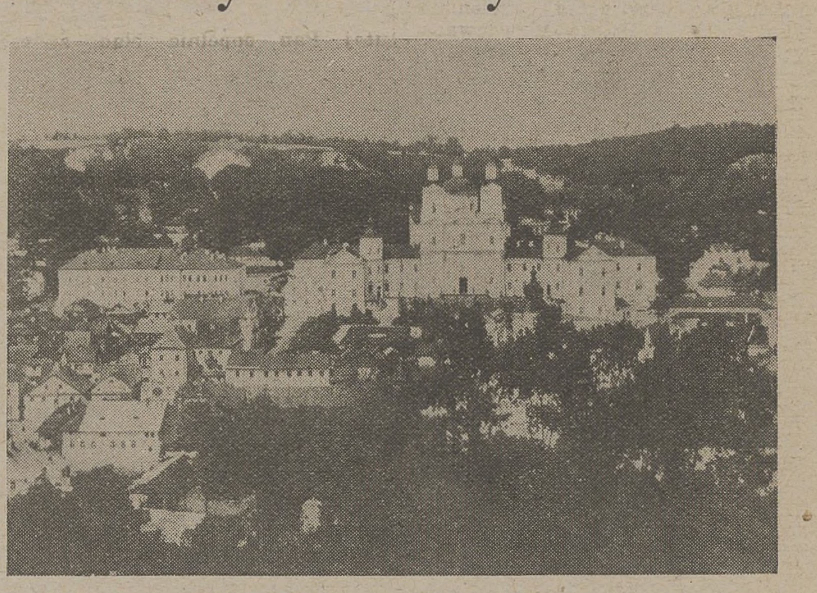
Z pięciu największych miast przedwojennego województwa wołyńskiego, będącego zaledwie częścią historycznego Wołynia — Krzemieniec jest miastem najmniej zaludniowym /21,900 mieszkańców/. Jest za to niewątpliwie jednym z najbardziej uroczych w tej części Polski.

Krzemieniec opromienia fakt, iż z jego imieniem jest związane życie wielkiego poety polskiego, Juliusza Słowackiego. Fakt ten stawia Krzemieniec w rzędzie miast najdroższych sercu Polaka.

Nie tylko Słowacki, który wczesne lata swe spędził pod Górą Bony, najwyższym wzniesieniem okolicy, nad rzeką srebrnie płynącą, zwącą się tajemniczo Ikwa — wiąże nas z Krzemieńcem i Wołyniem. Piękna ta ziemia o ludności polskiej i ukraińskiej — słynie nie tylko z poezji. Tu, w Krzemieńcu, niewiele ponad sto lat temu, wielki polski patriota i pedagog, Tadeusz Czacki, powołał do życia słynne Liceum Krzemienieckie, które mimo przemocy i burzliwych kolei losów, przetrwało do wybuchu tej wojny, wznowione po odzyskaniu niepodległości przez Polskę.

Oto akt Naczelnika Państwa, wznawiający w roku 1920, Liceum Krzemienieckie do życia: *"Odrodzona Rzeczpospolita Polska szuka dróg własnych, by wychować nowe pokolenia dzielnych obywateli, którzyby Jej wielkość i chwałę szerzyć i utrwalić zdołali. Chcąc drogi te odnaleźć, musi sięgnąć do tradycyj wielkich przodków i oprzeć się na powołanych przez nich do życia instytucjach wychowawczych, które ongi, po politycznym naszej Ojczyzny upadku, zdrowego ducha polskiego zachować umiały.*

W tej wielkiej pracy, która doprowadziła do odrodzenia Ojczyzny, niemałą rolę odegrało Liceum Krzemienieckie, stworzone wysiłkiem wiekopomnej pamięci Tadeusza Czackiego i kresowej ludności polskiej. Słynną tę uczelnię powołuję niniejszym do nowego życia, by snuła dalej wielką myśl swych założycieli i pełniła w nowych warunkach, z tą samą gorliwością co przed laty, tę samą służbę na pożytek Ojczyzny, nauki i cnoty".



Krzemieniec — widok na liceum

Przez lat dwadzieścia po odrodzeniu swoim — Liceum Krzemienieckie jako zespół szkół promieniowało kulturą i ukochaniem Ojczyzny. Jarzyło się światłem wiedzy mocno i trwale. Mówiło o związkach tej ziemi z Polską, z cywilizacją Zachodu, z chrześcijaństwem.

Tadeusz Czacki, założyciel Liceum Krzemienieckiego i Seweryn Potocki, założyciel Uniwersytetu w dalekim Charkowie, czyż nie są wskaźnikami, że na rozległych kresach wschodnich od dawien dawna Polacy byli nosicielami świateł wiedzy i cywilizacji. A ponadto, że ta mieszana językowo połać Polski — jest tak samo bliska polskiemu sercu, jak każda inna.

Dziś nad Krzemieńcem, nad Wołyniem, panuje przemoc. Obce rządy sprawują władzę w Równem /41,900 mieszkańców, siedziba kuratorium okręgu szkolnego/, Łucku /36,500 mieszkańców, miasto wojewódzkie, stolica biskupia/, Kowlu /29,100 mieszkańców/, i Włodzimierzu /26,500 mieszkańców/.

Wołyń — to ziemia borów i pól uprawnych. Z pośród osobliwości województwa — słynne były bazaltowe kamieniołomy w Janowej Dolinie. A Ławra Poczajowska, prawosławny klasztor, z cudownym obrazem Matki Boskiej, przyciągała pobożnych pątników rok w rok.

Wiele krwi polskiej od najdawniejszych czasów wsiąkło w tę ziemię wołyńską. Od zamierzchłych czasów, niemal po dzień dzisiejszy. Lała się krew polska w walce z Tatarami za dawnej Rzeczypospolitej, wsiąkała w piaski i zagaje wołyńskie. Lała się krew polska nad Styrem i Stochodem podczas pierwszej zawieruchy światowej, gdy na ziemi wołyńskiej walczyły Legiony. Potem przyszły walki lat 1919 — 1920. Od wybuchu zaś wojny w roku 1939, bez chwili wytchnienia — leje się na ziemi wołyńskiej krew polska . . .

Ziemia, o której tak czule, z takim synowskim przywiązaniem śpiewa poeta Juliusz Słowacki, ziemia rycerzy, oraczy i poetów, tratowana najazdami przez tyle pokoleń — powróci znów do Rzeczypospolitej. Czuwa nad tym żołnierz polski, rozsiany po całym świecie i jednako miłujący swój dom, czy dom ten stoi nad Wisłą, nad Wartą, czy też nad wolno, zakrętami płynącym Horyniem.

Nieco o szkockich zwyczajach

Zapewne przyzwyczailiście się już do widoku spódniczek, noszonych tutaj w Szkocji również i przez mężczyzn. Niektóre słynne pułki szkockie specjalnie pielęgnują spódniczki, jako strój wyjściowy, nosząc je we własnych, ustalonych tradycją barwach. Pełny, narodowy strój szkocki nazywa się *"kilt"*. Dość często widzieć go można w Szkocji, w miejscach publicznych.

Przebywając parę miesięcy, czy też kilka tygodni, nie oswoiliście się prawdopodobnie ze zwyczajami, panującymi w tym kraju. Na przykład, nie ma tu zwyczaju całowania pań w rękę. Pocałowanie kobiety w rękę oznacza tu zbytnią poufałość i może doprowadzić do wielu nieporozumień.

Ludność szkocką na ogół cechuje uprzejmość i karność społeczna. Gdy poprosicie o informacje w nieznanej miejscowości, z całą pewnością otrzymacie żądaną odpowiedź, chyba, że zapytywany nie może jej udzielić. Wówczas przeprosi Was uprzejmie, że nie wie.

Najczęściej używaną formą przeprosin, jest zwrot:

—*I am sorry*! — To znaczy: przykro mi, przepraszam. Po pierwszych latach naszego pobytu tutaj, Polacy tak to spolszczyli, mawiając między sobą: "Soroszczak jestem, że nie mogę ci tego załatwić".

Rano ludzie pozdrawiają się słowami "*good morning*" czyli "dzień dobry". Po południu obowiązuje forma "*good afternoon*", a z wieczora "*good evening*". Późnym wieczorem, na dobranoc, mówi się: "*goodnight*".

Popularną formą podziękowania za wyświadczoną przysługę jest w użyciu "*thank you*", lub dłużej, wylewniej: "*thank you very much, indeed*".

Dyscyplina społeczna jest tutaj rzeczywiście wysoka. Naocznymi jej objawami są ogonki na przystankach autobusowych, przy kasach biletowych w kinach i na dworcach. A nawet i w restauracjach. Nikt nikogo nie pilnuje.

Istnieje też budujące i naprawdę godne naśladowania przestrzeganie czasu. Jeśli wiesz, że urząd pocztowy otwiera się o godzinie 8 minut 30 rano, to możesz być przeświadczony, iż w chwili, gdy wskazówka na pocztowym zegarze oznaczy godzinę otwarcia, w tej samej sekundzie otworzą się drzwi.

Naprawdę, warto przejąć tę charakterystyczną cechę skrupulatności czasowej. Zachować ją, a po powrocie do Polski, stosować u siebie w domu z niemniejszą ścisłością.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

WEZWANIE DO PRACOWNIKÓW BIBLIOTEKARSKICH

Istnieje możliwość, iż w niedługim czasie zajdzie potrzeba wysłania na kontynent europejski ekipy kilkunastu polskich bibliotekarzy, celem zorganizowania sieci bibliotecznej dla uwolnionych Polaków.

W związku z powyższym Światowy Związek Polaków z Zagranicy zwraca się do przebywających na terenie W. Brytanii *fachowych pracowników bibliotekarskich*, którzy interesują się tymi możliwościami, o *pisemne* porozumienie się i nadesłanie następujących danych osobistych: a/ imię i nazwisko, b/ miejsce urodzenia oraz wiek, c/ wykształcenie, d/ dane dotyczące fachowego wykształcenia bibliotekarskiego, e/ wykaz dotychczasowej pracy w tej dziedzinie, f/ stosunek do służby wojskowej, g/ aktualny adres.

Wezwanie niniejsze ma jedynie na celu wstępne zorientowanie się co do możliwości zmobilizowania ekip bibliotekarskich dla Polaków na kontynencie. Dlatego też Światowy Związek prosi o pisemne nadsyłanie swych danych, nie zaś o zgłaszanie się osobiste. Odpowiedzi przesyłać należy na adres: *World League of Poles Abroad*, 38, *Wilton Crescent, London, S.W.*1.

Oddaj swoje polskie książki Polakom uwolnionym z rąk niemieckich. Przesyłki kierować należy na adres: World League of Poles Abroad, 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

WYSTAWA NA FUNDUSZ POMOCY POLAKOM W NIEMCZECH

Wystawa obrazów Szkoły Paryskiej /Picasso i współcześni/ zorganizowana przez Lady Jersey na pomoc British Committee for Polish Welfare z przeznaczeniem zebranych funduszów na akcję kulturalną wśród byłych jeńców wojennych i robotników na terenie Niemiec, mieści się w Lefevre Gallery, 131—134, New Bond Street, W.1. Otwarta jest codziennie od 10 do 5.30 /soboty od 10 — 1/-.

NA FUNDUSZ GEN. BORA

Chorzy oddziału płucnego Szpitala Wojennego Nr. 4 złożyli na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego, z przeznaczeniem na pomoc żołnierzom Armii Krajowej ostatnio wyzwolonym przez Wojska Sprzymierzone, kwotę £10.6.6, którą to kwotę w banknotach równocześnie załączam.

Zał. £10.6.6.

Dr. J.F. mjr. lek.

* * *

"Zamiast kwiatów w dniu imienin kochanej Kasi Łazar — przesyłam kwotę £0.10.0 /dziesięć szylingów/ z przeznaczeniem na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza".

Zał. 10/- banknot.

T.L. strz.

* * *

Chcę, aby ulżyć i przynieść pociechę naszym pozostałym w Kraju dzieciom nad którymi roztacza opieką Rada Funduszu Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza i składam kwotę £1 /jeden funt/ S.S."

H.O. p.o. Oficer Opieki

ZBIÓRKA KSIĄŻEK

P. K. Zbyszewski ofiarował: A. Gronowicz: "Chopin", M. Dynowska: "Polska w zwyczaju i obyczaju", Eckersley: "Modern English Course". "Pomniki literatury ojczystej", "Rocznik Polski /1943/", 5 zeszytów "Nowej Polski".

* * *

Bezimiennie: 52 broszury, J. Światosławski: "Pytania i odpowiedzi", S. Mackiewicz: "Czekamy".

* * *

F. Dembicki z Diaz Velez, Rosario, przesłał: Kongeriget: "Danmark", S. Kosko: "Przez trzy Oceany".

* * *

Bezimiennie: 1 egz. "The Economist", 3 egz. "Polski Walczącej" i 1 egz. "Myśli Polskiej".

NA POLAKÓW UWOLNIONYCH Z NIEMIEC

Oficerowie i szeregowi 9 Komp. sap. złożyli kwotę £22.14.0 /słownie: dwadzieścia dwa funty i czternaście szylingów/ na "Fundusz pomocy dla Polaków w Niemczech".

Załączam M.O. na powyższą kwotę z prośbą przekazanie jej na wymieniony cel.

Dowódca Komp., K.M. mjr.

* * *

Kwotę 21/- uzyskaną jako nagrodę na wystawie sztuki i prasy R.A.F. na stacji Cranwell — składam na Pomoc Dzieciom Warszawy.

Wł. Rosner

* * *

Niniejszym przesyłam £3 na "Pomoc dla wyzwolonych z obozów w Niemczech".

M. Płoszajska

* * *

Przesyłam przy niniejszym £1 /jeden funt/, ofiarowany przez naszą czytelniczkę Miss Faulkner z Essex na fundusz pomocy dla Polaków w Niemczech /w myśl apelu gen. Głuchowskiego/.

Za redaktora "Skrzydeł"
K. kpt.

* * *

W załączeniu przesyłam 10 sh. na Fundusz Dzieci Warszawy wygrany a nieprzyjęty przez p. W.W. zakład, oraz 35 sh. jako przybliżony równoważnik wręczonego mi przez p. Cz.N. upominka. Razem 45 sh.

A.P.

* * *

Korpus Podoficerów 1 Baonu Spadochr. przeznaczył: £5 na Polaków uwolnionych z Niemiec, £5 na "Błękitny Fundusz", £5 na P.C.K. i £5 na najbiedniejsze dzieci polskie. Razem £20.

W załączeniu przesyłam "Money Order" na wymienioną sumę z prośbą o potwierdzenie odbioru w najbliższym numerze "Polski Walczącej".

St. sierż. M.

NA P.C.K.

Na Polski Czerwony Krzyż przeznacza Korpus Podoficerów I Baonu Spadochr. £5.

St. sierż. M.

NA BŁĘKITNY FUNDUSZ

Korpus Podoficerów I Baonu Spadochr. przeznacza £5 na Błękitny Fundusz.

St. sierż. M.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Proszę potwierdzić na łamach pisma ofiarę pod hasłem: £3 To Poland /Na Polish Children Rescue Fund/.

Jerzy and Grace

* * *

Korpus Podoficerów I Baonu Spadochr. przeznacza na najbiedniejsze dzieci polskie £5.

St. sierż. M.

POSZUKIWANIA

Alojzy Powała, zamieszkały obecnie: 18, Coates Crescent, Edinburgh, a ostatnio w Ornontowicach, powiat Pszczyna, na Górnym Śląsku, poszukuje krewnego Rafała Wilczek z Przyszowic, powiat Rybnik, kol. Buchalika z Zawiści pow. Pszczyna i innych kolegów. Wiadomości kierować do redakcji "Polski Walczącej" lub wprost pod podanym adresem.

* * *

P. MIECZYSŁAW LESZCZYC-PETREJKO ma do odebrania w redakcji "Polski Walczącej" list od p. Zdzisława Kaisera.

KPT. GUSTAWA NOWAKOWSKIEGO poszukuje p. Zdzisław Kaiser. Wiadomość w redakcji "Polski Walczącej".

* * *

LUDNIK WANDA poszukuje brata swego GLIŃSKIEGO JANA. Ostatni znany adres z roku 1943 był w Teheranie. Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

KOMUNIKAT MINISTERSTWA WR. i OP.

Ministerstwo WR i OP ogłasza, że w związku z przewidywanym większym napływem młodzieży brytyjskiej na studia akademickie w przyszłym roku akademickim /1945/46/, kandydaci na studia akademickie, szczególnie na Wydziały Techniczne, Handlowe, Rolnicze Leśne i t.d. uniwersytetów brytyjskich powinni składać zgłoszenia na studia jak najwcześniej — najdalej do końca maja b.r. celem uzyskania odpowiednich miejsc na uniwersytetach brytyjskich. Zgłoszenia należy kierować do Działu Nauki i Szkół Wyższych Ministerstwa WR i OP /Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Rd., London, S.W.1/.

W zgłoszeniach kandydaci winni podać rok urodzenia, datę uzyskania matury, przebieg studiów po maturze, stosunek do służby wojskowej oraz stopień znajomości języka ang.

FUNDUSZ SPOŁECZNY WOJSKA NA POMOC POLAKOM WE FRANCJI

Pragnąc jaknajwięcej pomóc Polakom we Francji, Zarząd Funduszu Społecznego Wojska przyznał kwotę £2.000.0.0 na pomoc Polakom we we Francji, szczególnie dla młodzieży i rodzin żołnierzy — ochotników z Francji.

Kwota ta została przekazana do Wydziału Opieki nad Rodzinami Żołnierzy — przy delegaturze Ministerstwa Obrony Narodowej w Paryżu.

NA POMOC POLAKOM W NIEMCZECH

Zarząd Funduszu Społecznego Wojska podaje do ogólnej wiadomości, że w ramach księgowości kasowej — otwiera konto, dla składek wojska — "Pomoc dla wyzwolonych z obozów w Niemczech".

Zarząd Funduszu Społecznego Wojska apeluje do oddziałów wojsk lądowych o nadsyłanie ofiar pieniężnych na ten cel do Funduszu Społecznego Wojska pod adresem: Vandon House, 1, Vandon Street. London, S.W.1.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

OSTATNI "SNIPER" .



Goering: — Czyś ty zwariował?!! Nie strzelaj! . . . To ja, Goering! . .
—Więc wolisz, tchórzu, zginąć z ręki obcych? . . .

WARUNEK

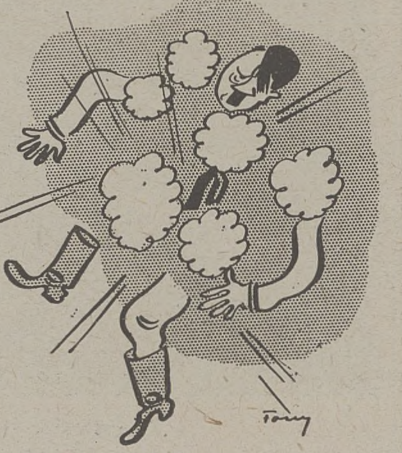
Mówią, że Polska w ostatniej chwili otrzymała zaproszenie do San Francisco, tylko pod warunkiem, że ma przybyć na jednej nodze...

NASI W LONDYNIE . . .

—No i co pan powie na to? Wojna się kończy!

—Tak, to straszne! Nigdy nie przypuszczałem, że to tak szybko nastąpi . . .

OSTATNI POMYSŁ HITLERA



Po sześciu latach wojny — ale się wysadził . . .

JASNA ROZMOWA

Polak zapytuje Anglika:

—Właściwie to kto pierwszy wszedł do Bolonii?

—Wojska alianckie!

—Rozumiem, tylko kto wkroczył pierwszy?

—Ósma armia!

—Zgadza się, tylko kto zajął Bolonię?

—Nasi Sojusznicy! . .

—Wiem, tylko jacy?

—Nasi Sprzymierzeńcy! . . .

PRĄDOWIEC . . .

Jeden z oficerów oświatowych telefonuje do Czołówki Filmowej:

—Czy mogę prosić o przysłanie filmów?

—Dobrze, tylko jaki macie prąd w obozie?

—Zdaje się, że mocn-- ponieważ kopie! Tylko prądu kinowego to u nas nie ma . . .

WYJAŚNIŁ . . .

—Niech mi pan powie, dlaczego wybrano San Francisco nad Oceanem Spokojnym na miejsce konferencji?

—Ażeby nie wypłynęła Karta Atlantycka . . .

SYNEK POLITYKA

—Tatusiu, kiedy żyła wojna Krymska?

—Nie męcz mnie głupimi pytaniami! Czytaj lepiej gazety . . .

OSTATNIA DESKA RATUNKU



Benito: — Dokąd teraz uciekniemy?
—Do Tokio! . . .
—Samolotem?
—Nie, V2! . . .

NA GRANICY SZWAJCARII



Hitler: — A mówiłem wam durnie, że należy zająć Szwajcarię. Teraz nie mamy gdzie uciekać . . .

U LEKARZA

—Z czym przychodzicie?

—Z ogólnym remontem . . .

—A co dolega?

—Kiepskie mam ssanie, następnie pływak nawala, przekładnia boli i czuję darcie w sprzęgle nożnym.

—To wszystko?

—Nie. Jeszcze mi zgrzyta w komorze wydechowej i czuję bóle w gaźniku . . .

—A jak tam stacja benzynowa?

—Słabo — panie doktorze — wieczorem tylko trzy whisky i kilka piwek . . .

ODCIĄŁ SIĘ

—Ci nowo uwolnieni generałowie, na pewno otrzymają przydziały.

—Wątpię! Przecież oni nie znają nowej techniki walki, sprzętu i t.d.

—Opanują szybko tak jak pan. Do którego kina chodzi pan na "newsy"?

GDZIEŚ W BAWARII . . .



Ostatnia Reduta Hitlera . . .

ZAGALOPOWAŁ SIĘ . . .

Pewien dygnitarz z Londynu przyjeżdża do żołnierzy w Szkocji. Jest w świetnie skrojonym ubraniu, ma z sobą teczkę. Wygłasza "mówkę":

—Zazdroszczę wam tego munduru, tego nastroju i tego ciepła rodzinnego. Tak chciałbym być zawsze z wami!

Głos: — To wstąp pan do wojska, u nas jest jeszcze siennik . . .

W LONDYNIE . . .

—Do jakiego obozu należy pan pułkownik?

—Do obozu Centrum Wyszkolenia!

—Ja rozumiem, ale do jakiego obozu . . .

—Obóz Douglas!!!

—Ależ ja pytam o obóz polityczny . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

Poszukiwany — Józef Jerzy ARCHIMOWICZ, ppor. 86 pp., architekt z Wilna, przebywał w ZSRR. w Starobielsku, w oficjalnych spisach zaginionych z obozów rosyjskich — nie figuruje. Pożądana najmniejsza wiadomość. Zgłoszenia pod adresem: Cpt. Eng. Edward Rayski, Palestine, Jerusalem, Polish Red Cross P.O.B. 1010.

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.